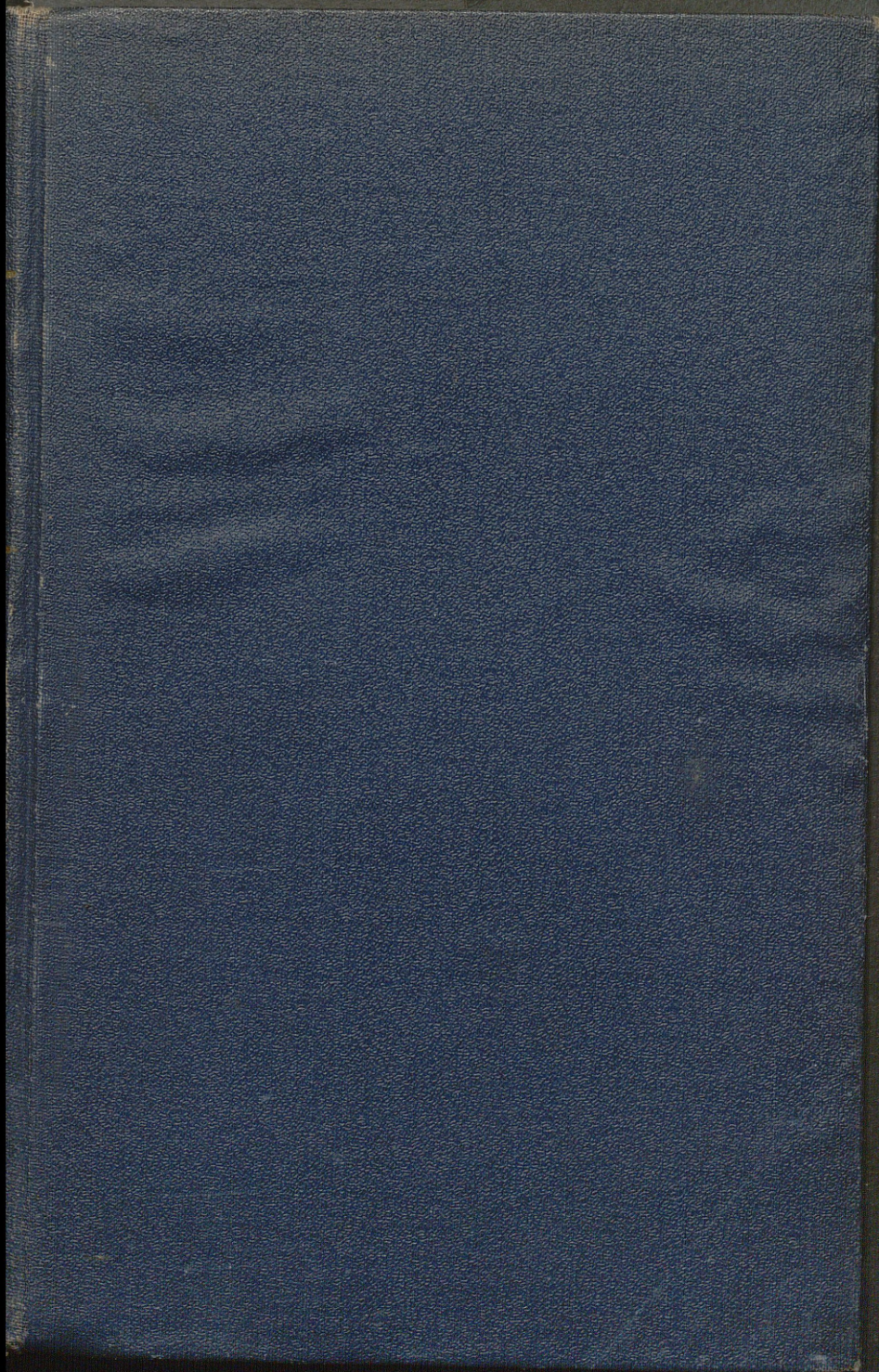
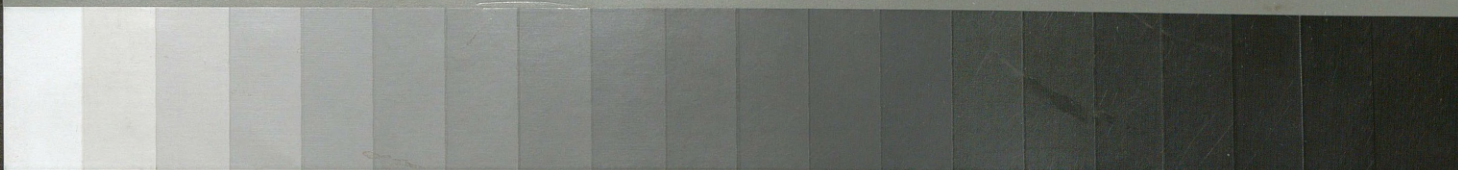


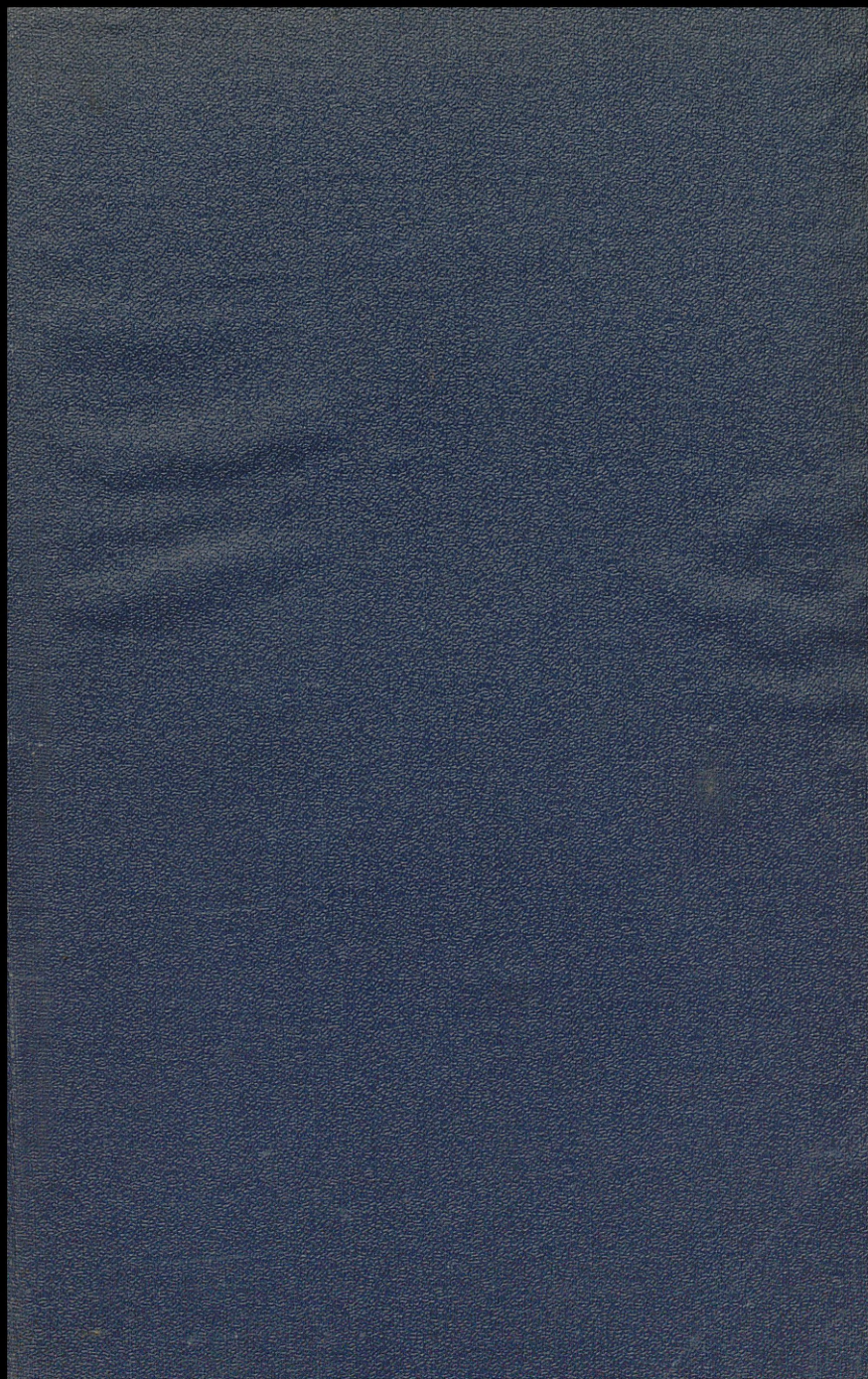


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19







The image is a decorative bookplate for a library collection. It features a central white shield with a black outline, set against an orange background. The shield is flanked by two blue and white striped banners. The text on the shield is in a stylized, calligraphic font. The top part of the shield contains the words 'Bibljoteka', 'Laureatow', and 'Nobla' in blue. Below this, there is a small orange star, followed by the name 'Maurycy Maeterlinck' in orange. The bottom part of the shield contains the words 'Skarb' and 'ubogich' in blue. The entire shield is enclosed within a green border with a repeating leaf pattern. At the top and bottom of the border are decorative elements: a crown-like motif at the top and a floral motif at the bottom.

Bibljoteka
Laureatow
Nobla

★
Maurycy
Maeterlinck

Skarb
ubogich



BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA

*POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA*

TOM 45.

*MAURYCY MAETERLINCK
SKARB UBOGICH*



*LWÓW—POZNAŃ 1926
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

20

MAURYCY MAETERLINCK
SKARB UBOGICH

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY
F. MIRANDOLI

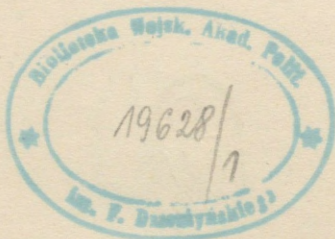


LWÓW—POZNAŃ 1926
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

840-7

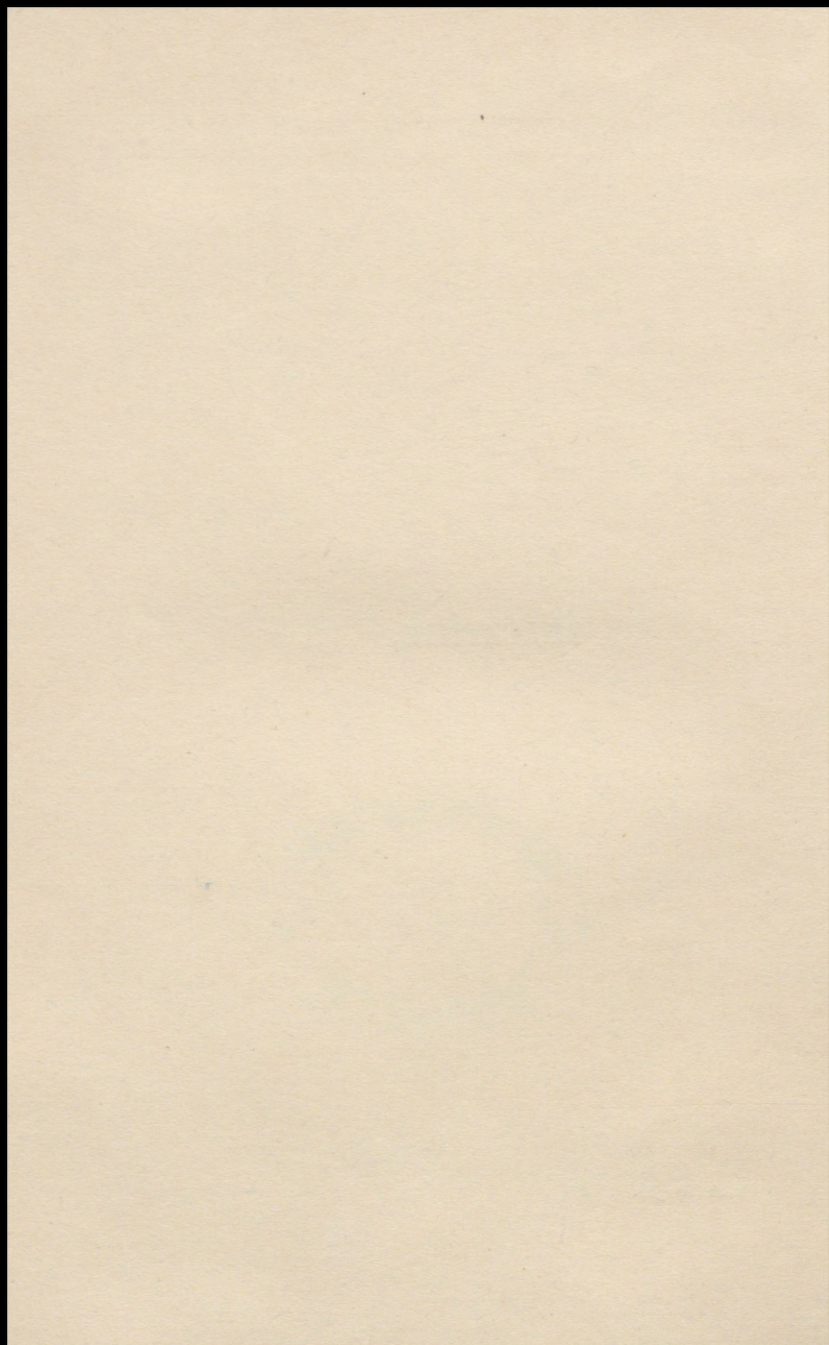
OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER.

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.



ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM.
DRUKARNIA CONCORDIA SP. AKC. POZNAŃ.

MILCZENIE.



I.
MILCZENIE.

Silence and Secrecy,“ powiada Carlyle, to cnoty, którym winnoby się wznosić ołtarze wieczystej czci, (o ile dziś jest jeszcze w użyciu wznoszenie ołtarzy). Milczenie jest zarodnią rzeczy wielkich, z której wylaniają się w postaci doskonałej i majestatycznej na powierzchnię życia i obejmują władztwo. Nietylko Wilhelm Milczący, ale inni znani ludzie, nie będący dyplomatami, ni strategami powstrzymywali się od paplania o swych planach i zamiarach. Spróbujmyż także, przez dzień jeden bodaj, nie rozpowiadać o naszych drobnych sprawach, a zauważymy zaraz nazajutrz, że cele swe i obowiązki dostrzeżemy w kształcie wyraźniejszym znacznie. Nieme sługi milczenia wymiatają z nas mnóstwo śmieci, podczas kiedy nie dochodzą z zewnątrz zbyt liczne zgola hałasy. Słowa służą często nie do ukrywania myśli, jak powiadają we Francji, ale do niszczenia jej, tak że nie pozostaje już nic do ukrycia. Słowo to rzecz wielka, ale nie

największa. Określa to dobrze przysłowie szwajcarskie: „*Spprechen ist Silber, Schweigen ist Gold*.“ Mowa to srebro, milczenie złoto, czyli raczej, słowo istnieje w czasie, milczenie w wieczności.

Pszczółki pracują o ciemku, myśl wśród milczenia, a cnota w tajemnicy.

Nie sądźmy, że słowo służy rzeczywistemu porozumiewaniu się istot żywych. Usta i język ujmują duszę w ten mniej więcej sposób, jak liczba porządkowa w katalogu ujmuje obraz Memlincka, kiedy atoli mamy sobie coś powiedzieć istotnie, skazani jesteśmy na milczenie. Jeśli w takiej chwili nie usłuchamy tajnego rozkazu, poniesiemy stratę wieczystą, nie do powetowania, gdyż stracimy sposobność wysłuchania innej duszy i dania głosu swojej, na chwilę bodaj małą. W życiu wielu ludzi sposobność taka nie zdarza się dwa razy.

Mówimy w chwilach, kiedy nie żyjemy naprawdę, kiedy nie chcemy widzieć bliźnich naszych i czujemy się dalecy od rzeczywistości. Za pierwszym zaraz słowem doznajemy ostrzeżenia, że jakieś wrota niebiańskie zamknęły się gdzieś.

Dlatego to skąpimy milczenia i najlekko-myślniejszy człowiek nie milczy w towarzystwie byle kogo. Instynkt pozaludzki, który posiadamy wszyscy, ostrzega nas, iż jest sprawą niebezpieczną, milczeć wobec kogoś, kogo znać nie chcemy i nie

kochamy wcale. Słowa zamienione pomiędzy ludźmi ulatują, ale milczenie, o ile zdołało nabrać charakteru czynnego, nie przemija, a życie prawdziwe, to które ślad poza sobą zostawia, jest właśnie milczeniem.

Jeśli sięgniemy do wspomnień, do takich istotnych momentów milczenia, kiedyśmy zstępowali na chwilę w głąb duszy naszej, gdzie mieszkają anioły, to przekonamy się, że w obcowaniu z istotą kochaną, głównej rzeczy nie stanowią gesty jej, lub słowa, ale przeżyte z nią milczenie. Jakość tego milczenia objawia nam jakość miłości naszej i jakość duszy własnej.

Mam tu na myśli jeno milczenie, które zowie czynnem, aktywnem, w odróżnieniu od biernego, które jest jeno odbłyskiem snu, śmierci lub nicości. To ostatnie śni i mniej jeszcze znaczy, niż słowo. Ale okoliczność niespodziana może je zbudzić i oto wstępuje na tron brat jego, milczenie czynne. Baczmyż tedy pilnie! Dwie dusze spotkają się, zmilkną słowa, pękną tamy, a życie powszednie ustąpi miejsca innemu, gdzie wszystko jest pełne powagi, nie posiada obrony żadnej, nie może się śmiać, nie podlega żadnym rozkazom i nie popada w zapomnienie.

Boimy się tak bardzo milczenia dlatego właśnie, że wszyscy znamy dobrze tę ponurą moc i nie-

bezpieczną igraszkę. Znosimy zazwyczaj łatwo milczenie własne, w samotności, natomiast milczenie osób kilku, zbiorowe, milczenie tłumu jest brzemieniem nadludzkim, nawet dla dusz mocarnych.

Zużywamy znaczną część życia na odszukiwanie miejsc, gdzie milczenie nie włada. Dwu, czy trzech ludzi spotyka się i zaraz wszyscy odganiają coprędzej niewidzialnego wroga. Przeważna liczba związków przyjacielskich opiera się na wspólnej nienawiści milczenia.

Czasem wślizguje się ono, mimo wszelkich wysiłków, w grono ludzi, a wówczas bezwiednie zwracają oczy z niepokojem na poważną a niedostrzegalną stronę każdej sprawy i niebawem rozchodzą się, ustępując miejsca istocie nieznaney. Będą się odtąd unikać ze strachu przed nową porażką w odwiecznej, a zawsze daremnej walce, z obawy, by któryś z nich nie rozwarł tajemnie przeciwnikowi wrót duszy swojej.

Dwa, lub trzy razy jeno w życiu przeciętnie decydujemy się przyjąć tego gościa tajemniczego, a mianowicie w chwilach uroczystych. Wówczas atoli przyjmujemy go wszyscy niemal z całą godnością. Najnikczemniejszy nawet człowiek ma w życiu chwile, kiedy postępuje tak jakby wiedział to co wiedzą bogowie.

Wspomnijmyż dzień naszego pierwszego spotkania z milczeniem. Wybiła godzina straszliwa, a ono wyszło naprzeciw duszy naszej. Dobyło się z otchłani życia, o których nie wspominamy, z głębin wewnętrznego oceanu piękna czy ochydy, my zaś nie uciekliśmy... Stało się to w chwili powrotu, czy wyruszenia w drogę, podczas jakiejś wielkiej radości, przy łożu zmarłego, czy też nad brzegiem nieszczęścia. Wspomnijmyż te chwile, kiedy rozbłysły wszystkie tajemne klejnoty, kiedy zbudziły się wszystkie prawdy zaśnione. I powiedzmyż otwarcie, czy milczenie nie było dobre i potrzebne, czy owe pieśczęty ze strony rzekomego wroga nie były pieśczętami boskimi wprost?

Nie sposób zapomnieć pocałunku milczenia nieszczęsnego, a w nieszczęściu zwłaszcza otrzymujemy odeń pocałunek i dlatego ci, którzy tego doznali częściej, więcej są warci. Oni to jedni może wiedzą, na jakiej wodzie milczącej i nieruchomej spoczywa cienka łupina życia codziennego, oni to zbliżyli się bardziej do Boga, a krok ku światłu uczyniony nie przepada na wieki. Dusza jest to coś, co może nie wzlatać, ale nie schodzi nigdy w dół.

— Królestwo milczenia, — powiedział Carlyle, który znał je dobrze — sięga wyżej niżli nad gwiazdy i głębiej niżli w śmierć! O jakże szlachetni

są ludzie milczący! Żyją rozprószeni, każdy w swojej prowincji, rozmyślając w ciszy, pracując w ciichości, a dzienniki nie wspominają o nich. Są oni solą ziemi, a kraj nie posiadający takich ludzi, na złą znajduje się drodze. Jest to las o drzewach bez korzeni niemal, kędy wszystko poszło w listowie i gałęzie, tak że rychło zwiędnie i przepadnie.

Prawdziwe milczenie jest to coś więcej jednak jeszcze, niż milczenie materialne, o jakim mówi Carlyle. Trudniej się doń zbliżyć, ale nie jest to bóstwo, które opuszcza człowieka. Otacza nas z wszystkich stron, stanowi samą treść życia podświadomego, a ile razy któryś z nas puka trwożnie do wrót otchłani, owo milczenie czynne zawsze mu otwiera.

I tu znowu jesteśmy równi w obliczu rzeczy nieogarniętej. Milczenie króla i niewolnika wobec śmierci, cierpienia, czy miłości ma twarz tę samą i kryje te same skarby pod płaszczem nieprzeniknionym.

Tajemnica owego milczenia, nietykalnego przybytku dusz naszych, nie zaginie nigdy i gdyby pierwszy z ludzi urodzonych na świecie spotkał ostatniego mieszkańca ziemi, milczeliby taksamo w pocałunku, strachu, łzach, słowem we wszystkim co wolne od kłamstwa. Mimo tylu wieków różnicy zrozumieliby się zaraz, jak bliźnięta w tem,

czego wargi wymówić nie zdołają do końca świata.

Gdy usta milczą, budzą się dusze i zaczynają pracować, gdyż milczenie jest żywiołem niespodzianek, niebezpieczeństw i chwil szczęścia, pośród których dusze biorą się swobodnie w posiadanie. Jeśli chcesz się oddać komuś naprawdę, milcz! Jeśli boisz się milczeć z nim, uciekaj, gdyż dusza twoja wie już czemu się boi. Największy bohater nie zdołałby milczeć wobec pewnych istot, a dusza nie mająca żadnych tajemnic drży, by jej nie przeniknęły.

Są i tacy, którzy nie mają w sobie milczenia i zabijają milczenie drugih, a ludzie ci właśnie przemijają niepostrzeżenie. Nie mogą przekroczyć strefy objawienia, wielkiej strefy światła trwałego i wiernego. Trudno sobie wyobrazić człowieka, który nigdy nie milczał. Rzechy można, iż dusza jego nie posiadała nigdy oblicza.

— Nie znamy się jeszcze — napisał mi raz ktoś bardzo drogi — gdyż nie mieliśmy odwagi milczeć, będąc ze sobą.

I tak było. Kochając się wzajem głęboko, drżeliśmy przed tą, nadludzką próbą. Ile razy milczenie, posel wieszczący prawdy najwyższe, wysłannik, którego do każdej miłości śle to co niepoznawalne, ile razy spływało ku nam, dusze

nasze padały na kolana, błagając o kilka jeszcze bodaj godzin niewinnego kłamstwa, niewiedzy i dziecięctwa... A jednak chwila ta nadejść musi. Jest ona słońcem miłości i w niej dojrzewa owoc duszy, jak w słońcu ziemi owoc drzew.

Słusznie boimy się tego, niewiadomo bowiem, jaki rodzaj milczenia nastanie. Słowo jest podobne każde do drugiego, milczeń jest mnóstwo, a właśnie od rodzaju tego pierwszego milczenia zawisł los obu dusz milczących. Kombinacje i odmiany tworzą się gdzieś, niewiadomo gdzie, albowiem źródło milczenia znajduje się nierównie wyżej od źródła myśli. Toteż napój ten bywa niespodzianie straszliwie gorzki, lub czarodziejsko słodki.

Dwie dusze precudne i równe sobie mocą, wytworzyć mogą milczenie wrogie i wydać sobie wśród ciemności walkę śmiertelną. Przeciwnie, dusza zbrodniarza i dziewicy milczeć mogą bosko. Niczego przewidzieć nie można, wszystko dzieje się bez ostrzeżeń i dlatego to właśnie najczulsi kochankowie odkładają do ostatnich nieraz chwil przyjęcie uroczyste objawiciela głębin duszy.

Miłość prawdziwa zbliża najlekko myślących nawet do ogniskowego punktu życia, kochankowie wiedzą zatem, że wszystko inne było jeno dziecięcą igraszką dokoła murów i dopiero gdy one padły, zaczęło się istnienie prawdziwe.

Milczenie ich będzie warte tyle, co bóstwa, jakie w sobie mieszczą, a jeśli to pierwsze milczenie nie da porozumienia, dusze ich nie pokochają się nigdy, bowiem milczenie jest niezmiennie.

Może ono wstępować na wyże, lub schodzić ku ziemi, ale natura jego pozostaje zawsze tasama i aż do śmierci kochanków zachowa tę formę i potęgę, jaką miało, wchodząc poraz pierwszy do ich komnaty.

Spostrzegamy z biegiem lat, że wszystko działa się wedle jakiegoś planu z góry, o którym nie wspomina się, nie myśli nawet, a czujemy, iż prawo jakieś istnieje gdzieś, ponad głowami naszymi. Najnieporadniejszy człowiek uśmiecha się za pierwszym napotkaniem przyjaciela, jakby zdawna spiskował z jego przeznaczeniem. Ci, którzy wygłaszają poglądy najgłębsze, wiedzą, iż słowo nie oznacza stosunków istotnych i realnych dwu istot. Mówiąc o rzeczach najważniejszych, o śmierci, miłości, czy przeznaczeniu, nie sięgam śmierci, miłości, ni przeznaczenia i wiem, że pomiędzy nami pozostanie zawsze jeszcze prawda niewysłowiona, której wyrazić nie zamierzaliśmy wcale, która jednak, zstąpiwszy ku nam, przysłoniłaby nam wszystko inne.

Jest to... nasza... prawda o śmierci, przeznaczeniu, czy miłości, a dostrzegamy ją jeno

wśród milczenia. I to właśnie milczenie posiada wartość.

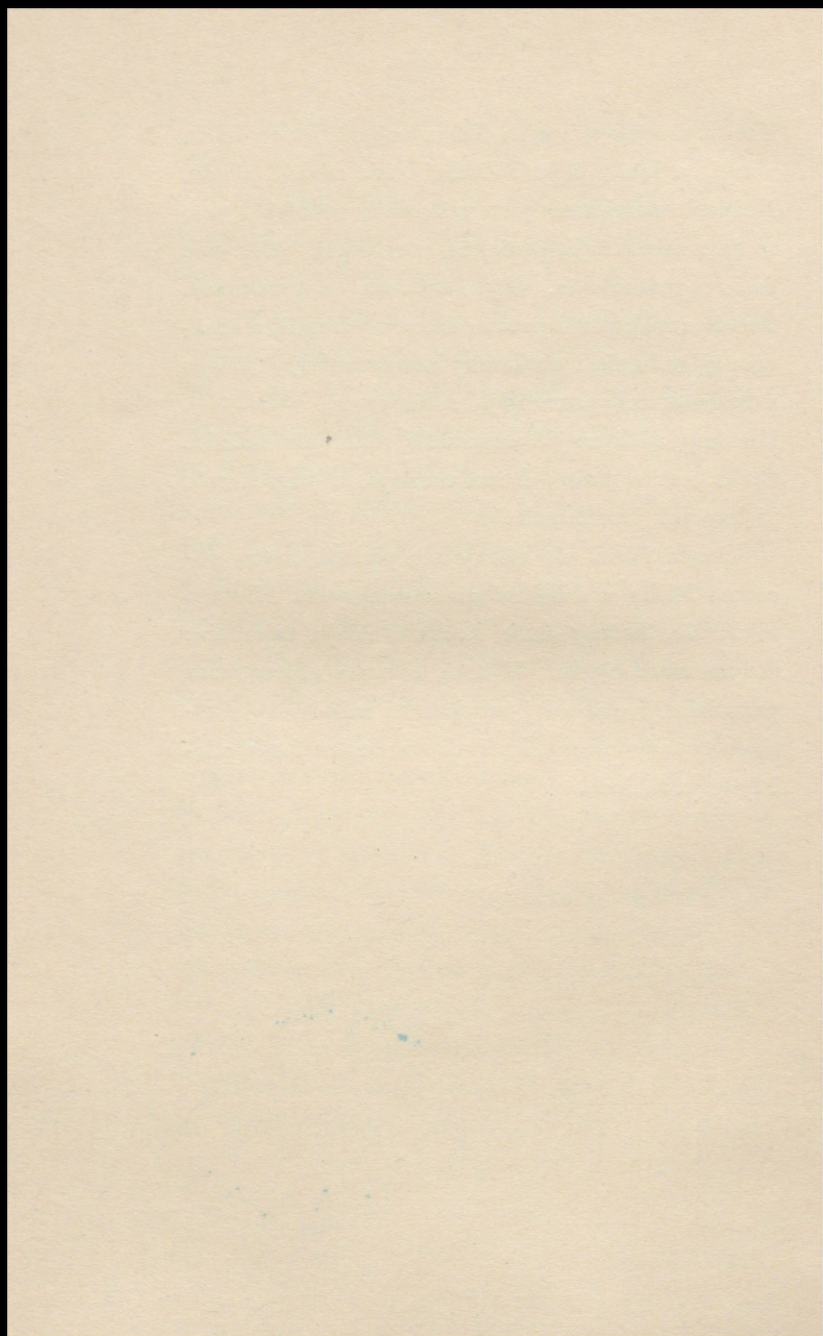
— Siostrzyczki moje — powiada dziecko w jednej z baśni — każda z was ma własną myśl tajną, którą chcę poznać!

Wszyscy mamy coś, co radziłyśmy poznać wzajem, ale skrywa się ono głębiej niż myśl tajemna, a jest to nasze tajne milczenie. Daremnie byłoby pytać. Przeciwnie, niepokój duszy baczącej na siebie stanowi przeszkodę dla życia drugiego, które tkwi w tej tajemnicy. Chcąc poznać to co istnieje rzeczywiście, należy obserwować milczenie w obcowaniu ze sobą, gdyż wśród niego jeno rozkwitają niespodzianie nieraz, kwiaty wieczyste, zmieniające kształt i barwę, stosownie do duszy z którą się znajdujemy. Dusze waży się w milczeniu, jak złoto i srebro w czystej wodzie, a słowa mają znaczenie tylko w milczeniu, w którym są zanurzone. Jeśli powiem komuś, że go kocham, nie zrozumie może tych słów, które powtarzałem wielu innym, ale jeśli go kocham naprawdę, to milczenie jakie nastąpi po tem oświadczeniu okaże, jak głęboko sięgnęły dziś korzenie tych słów i da mu cichą pewność. A milczenie to i ta pewność nie powtórzą się już w tysiącym kształcie, w ciągu życia.

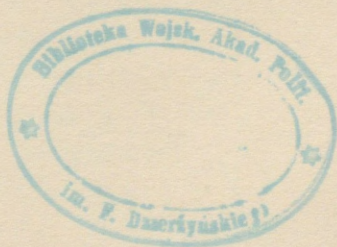
Milczenie stanowi cały urok miłości. Bez niego miłość nie miałaby ni smaku, ni woni wiekuistej.

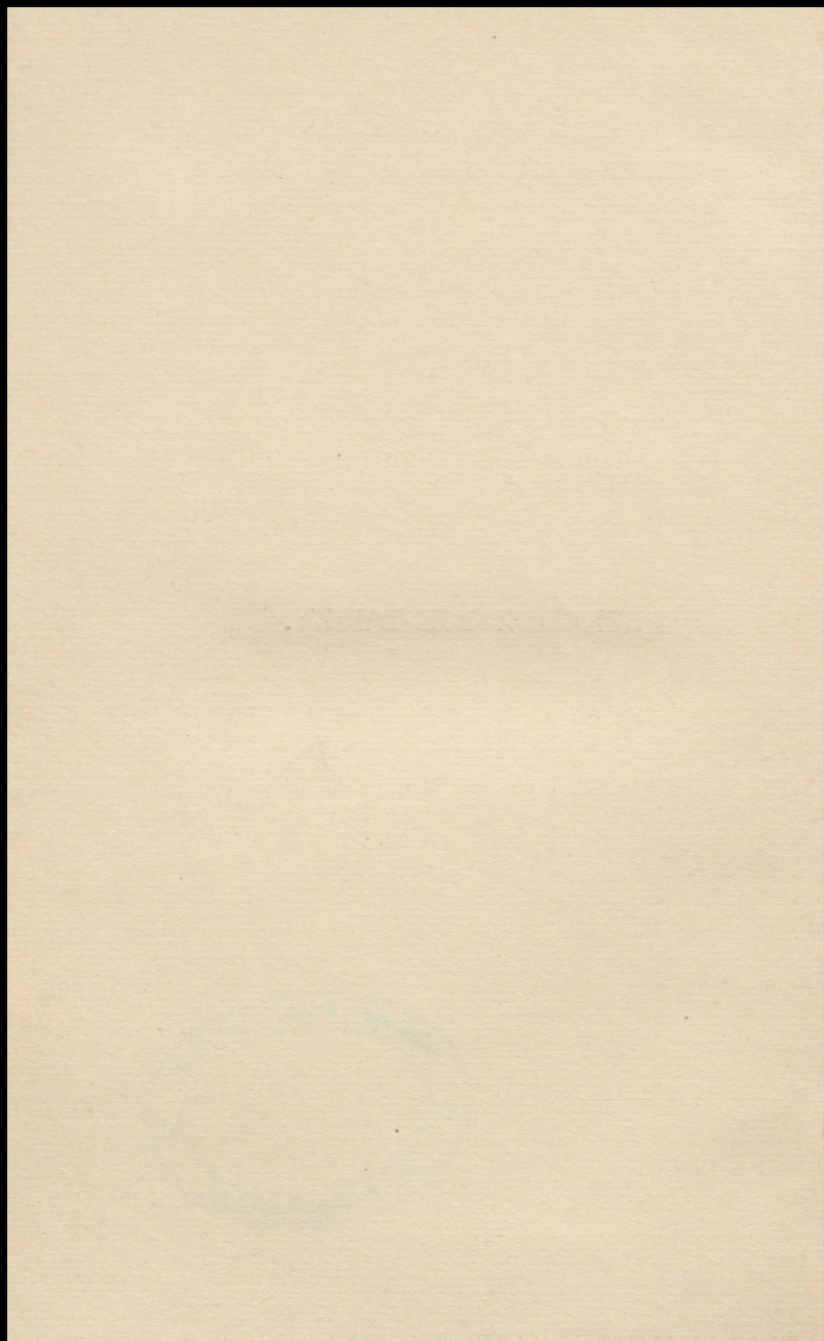
Któż z nas nie zna tych cichych chwil, które dzielą wargi, a łączą dusze? Należy ich szukać ciągle. Najposłuszniejszem jest milczenie miłości i ono to jest naszą najistotniejszą własnością. Milczenie śmierci, cierpienia, czy losu, nie jest naszym. Każde z nich przybywa z chaosu wydarzeń, o oznaczonj godzinie i ci, którzy nie napotkają takiego milczenia, nie potrzebują sobie czynić wyrzutów. Możemy atoli wyjść naprzeciw milczenia miłości. Czeka nas u progu domu naszego, a jest równie piękne jak inni bracia.

Dzięki jemu, ci, którzy nie płakali, mogą obcować blisko z duszami nieszczęśliwych. Dlatego to ludzie, którzy dużo kochali, znają tajemnice innym niedostępne. W tem, o czem milczą usta prawdziwej, głębokiej przyjaźni i miłości żyją tysiące tysięcy rzeczy, których przemilczeć nie zdołałyby usta inne.



PRZEBUDZENIE DUSZY.





II.

PRZEBUDZENIE DUSZY.

Nadejdzie czas, rychło już może, jak świadczy mnóstwo rzeczy, kiedy dusze nasze porozumiewać się będą bez pośrednictwa zmysłów. Terytorjum duszy powiększa się z dniem każdym, to rzecz pewna. Bliższą jest ona naszej widzialnej istocie i bierze znaczniejszy udział w czynach naszych, niż przed trzema wiekami. Zbliżamy się, jakoby do okresu duchowego. W dziejach napotyamy dużo okresów podobnych, kiedyto dusza, powolna nieznanym zgoła prawom, wypływa niejako na powierzchnię ludzkości, przejawiając dobitniej swe istnienie i moc swoją.

Istnienie to i ta potęga jawią się w kształtach rozmaitych i niespodzianych. W chwili obecnej człowieczeństwo uchyliło, rzec można, potrosze ciężką płytę materji i nastąpi pewna ulga duchowa. Najtwardsze i najbezwzględniejsze prawa natury zachwiały się tu i owdzie. Ludzie zbliżyli się do

samych siebie i braci swoich, spoglądają na siebie poważniej i kochają się serdeczniej. Rozumieją lepiej i głębiej dziecko, kobietę, zwierzęta, rośliny i rzeczy martwe.

Posągi, obrazy i wytwory pióra współczesnych są może mniej doskonałe, ale tkwi w nich wdzięk tajemny i siła mocna, a niewoląca. W spojrzeniu istot żywych przebija braterstwo i nadzieja tajemna. Znajdujemy wszędzie, obok śladów życia powszedniego, faliste ślady innego życia, którego wyjaśnić nie sposób.

To co wiemy o Egipcie, pozwala przypuszczać, że nadchodzi okres spirytualny. W czasach bardzo dawnych, jak świadczą dzieje Indji, dusza zbliżyła się do powierzchni życia jak nigdy przedtem, a resztki tego zjawiska, czy wspomnienia jej niemal bezpośredniej obecności, wytwarzają do dziś dziwne fenomeny. W innych jeszcze momentach dziejowych pierwiastek duchowy walczył, niejako, by wyjść na wierzch, jak tonący w falach rzeki. Wspomnijmy Persję, Aleksandrję i dwa wieki mistyczne Średniowiecza.

Wzamian zato napotykamy wieki doskonałości, kiedy inteligencja i piękno władają w pełni czystości swojej, a dusza nie ukazuje się wcale. Daleką jest ona bardzo Grecji i Rzymowi, oraz wiekom XVII i XVIII we Francji. Tak jest na powierzchni

przynajmniej, gdyż nie znamy jeszcze wszystkich tajemnic twórczości Claude de Saint-Martina, Cagliostro, Paskalisa i wielu innych. Czegoś brak, zerwane są związki tajemne, a piękno zamyka oczy wszystkim. Nie łatwo to wyrazić w słowach i wyjaśnić, czemu atmosfera dramatów greckich, z ich bóstwami i fatalizmem, nie jest prawdziwą atmosferą duszy. Żywie na widokręgu tych, przepięknych tragedji tajemnica wieczysta i czcigodna, nie jest ona jednak tak wewnętrzną, braterską i do głębi aktywną, jak ta, którą znajdujemy w utworach innych, mniejszych i nie tak pięknych. Weźmy twórcę bliższego nam i spytajmy, czy Racine, poeta genialny serca kobiecego śmiałby twierdzić, że raz bodaj uczynił krok ku duszy swojej? Cóż nam powiedzą dusze Andromaki, lub Britanika? Bohaterów Racina rozumiemy tylko ze słów, jakie wygłaszają, a żadne z nich nie przebija tamy morskiej. Są oni wszyscy straszliwie osamotnieni na powierzchni planety, nie wirującej w przestrzeni. Zamilknąwszy, przestaliby istnieć. Nie posiadają pierwiastka niewidzialnego i zdaje się jakoby jakaś warstwa izolująca leżała pomiędzy ich duchem, a nimi samymi, pomiędzy życiem komunikującym z całokształtem zjawisk, a życiem, które osiąga ten związek tylko w chwili jakiejś namiętności, cierpienia, czy pra-

gnienia. Zaprawdę, na całe nieraz wieki dusza zasypia, a nikt o nią nie pyta wcale.

Dziś czyni bezsprzecznie wysiłki wielkie, przejawiając się wszędzie w sposób nienormalny, nagły i mocarny, jakby gdzieś padł rozkaz, a ona nie miała czasu czekać dłużej. Sposobi się do walk decydującej, a przewidzieć nie sposób co się stanie w razie zwycięstwa, czy porażki. Nigdy może nie stanęły w szrankach siły bardziej różnolite i nieodporne. Przypartą została, jakby do jakiegoś muru niewidzialnego i trudno orzec, czy się szamoce w agonii, czy ją ożywia życie nowe.

Pominę zjawiska okultystyczne, budzące się wkoło nas, nie wspomnę więc o magnetyzmie, telepatji, lewitacji, przedziwnych własnościach materji promienistej i innych fenomenach wstrząsających podwalinami wiedzy urzędowej. Są to rzeczy znane i łatwo je stwierdzić. A są prawdopodobnie drobiazgiem jeszcze w porównaniu do rzeczy dziejących się w rzeczywistości, gdyż dusza z głębi snu, w którym jest pogrążona, czyni niejako ogromne wysiłki, by podnieść powiekę, lub poruszyć ręką.

W innej dziedzinie, na którą ogół uwagi nie zwraca, dusza działa wyraźniej jeszcze, tylko rzeczy tych nie dostrzegają oczy, nie nawykłe do patrzenia. Stara się ona n. p. w muzyce przenikliwym okrzy-

kiem stargać ostatni akord błędu, który ją otacza. Czyż nie odczuwamy również świętego brzemienia obecności niewidzialnej potęgi, gdy patrzymy na obraz wielkiego mistrza współczesnego? A literatura bieżących czasów, czyż nie oświeca tu i owdzie nowym blaskiem nieznanych szczytów, pozostawionych w ciemku przez literaturę dawniejszą?

Zbliżamy się do jakiejś nieznanej przemiany milczenia, a szczytny pozytywizm władający dotąd, kończy żywot. Nie wchodzę tu w szczegóły, na co jeszcze za wcześnie, sądzę tylko, że bliscy, jak nigdy, jesteśmy oswobodzenia duchowego. Prąd ten przybiera nawet niekiedy kształt jakiegoś ultimatum, nie zaniedbujmyż tedy sposobności uchwycenia tych zwiastunów, które podobne snom ulatują bezpowrotnie. Bądźmyż roztropni i pamiętajmy, że dusza nasza nie szamoce się nadaremnie.

Ruch ten, dostrzegalny wyraźniej na spekulatywnych wyżynach bytu, przejawia też zapewne w życiu powszednim, gdyż kwitnące na wyżach kwiaty spadają w doliny. Niewiadomo czy się to już stało. Spostrzegamy jednak wyraźnie zbliżenia dziwne istot najzwyczajniejszych, związki tajemnicze, a bezpośrednio i zjawiska duchowe, o których nie wspominają czasy dawne. Przypuścić trzeba, że zdarzało się to również przed naszą erą, gdyż nie brakło nigdy całkiem ludzi sięgających

w głębie prawd życia i oni to przekazali nam to, co odnaleźli w sercach, duszach i umysłach współczesnych swoich. Dawniej jednak relacje te i ta bezpośrednia komunikacja nie miała charakteru tak ogólnego, nie ogarniała, jak dzisiaj, mas, nie była tak świeża i mocarna, gdyż inaczej zostałoby to dostrzeżone przez mędrców i nie zatонуłoby w milczeniu.

Pominę tutaj tak zwany spirytyzm naukowy, zjawiska telepatji, materjalizacji i inne, wymienione powyż. Idzie mi o interwencję duszy jawiącą się ciągle w życiu najbardziej szarem istot niepomyślnych zgola swych praw wiekuistych. Mam tu na myśli psychologję różną zgola od powszedniej, która nieprawnie przywłaszczyła sobie piękną Psyche, gdyż zajmują ją jeno zjawiska duchowe, najściślej związane z materją. Słowem chcę mówić o tem coby nam dać mogła psychologja transcendentálna, traktująca o bezpośredniem działaniu duszy na duszę, o senzytywności i obecności niepojętej samej duszy. Wiedza ta, zdolna podnieść człowieka o cały jeden stopień wzwyż, zaczęła się dopiero, ale wyprze rychło psychologję elementarną, władającą dzisiaj.

Ta psychologja bezpośrednia, tryskająca ze szczytów, załala już dziś pomniejsze doliny i przejawia się w specjalnej literaturze, złej, ale bardzo

rozpowszechnionej. Wulgaryzacja tej akcji tajemniczej świadczy najlepiej, że napór duszy zwiększył się wśród ludzkości. Wspominam tu o sprawach niewysławialnych niemal i dać mogę przykłady jeno niepełne i zgrubsza zarysowane. Oto kilka rzeczy elementarnych, ale wyraźnych. Ile razy dawniej była mowa o przeczuciu, przełotnem wrażeniu jakiegoś spotkania, czy spojrzenia, decyzji nie podyktowanej rozsądkiem, interwencji siły niewytłumaczalnej, a jednak oczywistej, prawach tajemnych sympatji i antypatji, powinowactwie z wyboru, czy instynktownym, oraz wpływie decydującym, tego co nie zostało wypowiedziane, wszystko to, w czasach dawniejszych zbywano byle czem, a zjawiska te nie zajmowały myśliciela. Były zresztą rzadkie i napotymano je przypadkowo jeno. Nie domyślał się nikt, jakim wprost religijnem brzemieniem ciężą na życiu i zwracano coprędzej do namiętności ludzkich i normalnych przejawów zewnętrznych.

Dziś maluczkich zajmują bardzo żywo te zjawiska, na które ledwo uwagę zwracały umysły najgłębsze czasów dawnych, a dowodzi to, że dusza ludzka jest rośliną przedziwnie jednolitą, a w danej chwili wszystkie jej gałązki zakwitają jednocześnie. Skromny chłopek nasz, obdarzony zdolnością wypowiedzenia się, wyraziłby to, czego nie mieściła

jeszcze dusza Racina. Dlatego też ludzie o wiele niżsi umysłowo od Szekspira, czy Racina zrozumieli, że istnieje życie tajemne, pełne światłości, którego odwrotną jeno stronę dostrzegli mistrze.

Nie znaczy to jeszcze, by zostawiać samą duszę szamocącą się w przestrzeni i czasie. Nie wiele dokaże bez pomocy. Jest kwiatem tłumu. Jawi się w chwili największego wzburzenia oceanu dusz, gdyby zaś rozkwitła w czasie śpiączki ogólnej, zwiastowaćby mogła same jeno marzenia senne. Biorąc słynny przykład, powiedzieć możemy, że Hamlet w Elsinorze podchodzi co chwila do krańca snu, a jednak mimo lodowatego potu na swem białem czole, nie jest w stanie wyrzec słów, któreby powiedział dziś, gdyż dopomogłaby mu w tem dusza bylejakiego włóczęgi, czy nawet złodzieja. Patrząc na Klaudjusza, lub matkę swoją, wiedziałby to co mu było tajemem dawniej, a to dlatego, że dziś duszy nie zakrywa już tyle osłon.

Wiedzmyż, że jeśli nie jesteśmy dobrzy, to... o zgrozo... obecność nasza głosi dziś ten fakt sto razy dobitniej, niż przed dwoma, czy trzema wiekami! Wiedzmyż, że jeśli zasmuciliśmy dziś rano duszę prostego bodaj chłopka, z którym rozmawialiśmy o burzy, o deszczu, wiedział on, że to nastąpi, zanim jeszcze wszedł do naszego mieszkania.

Twarz świętego, męczennika, bohatera, czy spojrzenie dziecka powita cię dziś inaczej, jeśli nosisz w sobie myśl złą, czyjąś krzywdę, lub łzę brata masz na sumieniu. Przed stu laty dusze te przeszłyby obok twojej niebacznie.

Zaprawdę, trudno już dziś ukryć w sobie nawiść, zazdrość, czy zdradę, tak by ich nie odkryły czyjeś oczy. Najobojętniejsze dusze widzą wszystko wokół siebie. Przodkowie nasi nie mówili nawet o tych sprawach i widzimy, że życie nasze jest zgoła odmienne od tego jakie opisywali. Czyżby nas chcieli omamić, albo czyż nie umieli tego dostrzec? Znaki i słowa nie mają żadnej niemal wartości, a wszystko załatwia się w mistycznym kręgu prostej obecności duszy.

Wola także, owa stara wola, tak dobrze znana i tak logiczna doznaje przemian i ulega wpływowi wielkich, głębokich praw. Niema już niemal kryjówek, a ludzie zbliżają się do siebie. Oceniają się wzajem, nie biorąc w rachubę słów i czynów, a nawet myśli, gdyż to co dostrzegają, nie rozumiejąc jeszcze dobrze, sięga poza sferę myśli.

Jest to jeden z ważnych znaków, po których poznaje się okresy spirytualne, o których mówiłem. Czujemy wyraźnie, że warunki życia uległy zmianom, a najmłodszy z nas mówią i działają inaczej, jak ludzie minionego pokolenia.

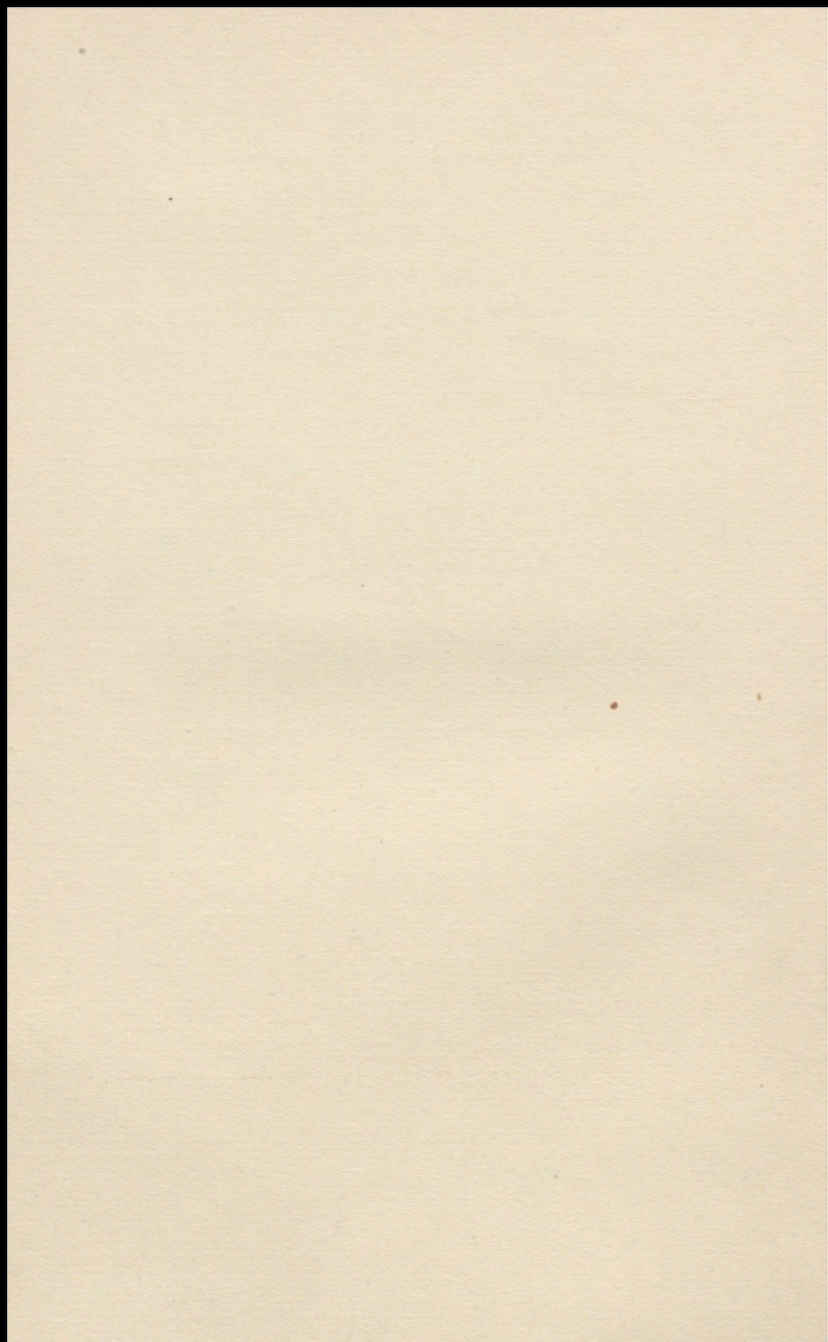
Spada w jakąś otchłań mnóstwo konwencji, zwyczajów, przysłów i pośrednictw bezpożytecznych, a wszyscy niemal bezwiednie kierujemy się w sądach tem jeno co niewidzialne.

Gdy poraz pierwszy wejdę do twego pokoju, nie osądzisz mnie zgodnie z zasadami psychologii praktycznej, jakby przystało człowiekowi, oceniającemu drugiego człowieka. Nie zdołasz mi powiedzieć, skąd wiesz kim jestem, ale pozyszczesz mnóstwo pewników, nie dających się wysłowić. Ojciec twój osądziłby mnie inaczej i popełniłby omyłkę. Bądźmy pewni, że niebawem człowiek zetknie się z człowiekiem i zmiana zajdzie w atmosferze ducha.

Czyż uczyniliśmy, jak powiada Claude de Saint-Martin, wielki „filozof nieznany,” czyż uczyniliśmy jeden bodaj krok nowy na pouczającej drodze prostoty istot żywych?“

Czekajmyż w milczeniu, a może niebawem posłyszemy „szept bogów.“

OSTRZEŽENÍ.



III. OSTRZEŻENI.

Zna te istoty wielu ludzi, a zna je pewnie każda matka. Jako cierpienie są, zda się, niezbędne, a ci którzy się do nich nie zbliżyli, stracili dużo zalet słodczy, smutku i dobroci.

Dziwne to zjawy. Bliższe życia, niż inne dzieci, nie wiedzą, jakby, nic o niem, a jednak w oczach łśni im pewność taka, że chyba poznały do głębi wszystkie tajniki i zwierzyły je sobie wzajem, czasu długich wieczorów. Kiedy rodzeństwo idzie jeszcze omackiem przez rozłóg pomiędzy narodzinami, a życiem, znają je już, stoją pewnie na nogach, a ręce ich są gotowe do czynu. Szybko, mądrze i skrupulatnie sposobią się, by żyć i pośpiech ten jest znakiem dla matek, powierniczek wszystkiego czego wysłowić nie można. Matki nie śmia, niemal, patrzeć na takie dzieci.

Nie dostrzegamy ich często, przechodzą bez słowa i pozostają na zawsze nieznane. Czasem,

któreś z nich zatrzyma się na chwilę, spojrzy, jakby przyznawało, że wie wszystko, potem zaś, przeżywszy lat dwadzieścia, odbiega spiesźnie, jak może, nąjciszej. Poznało ono, widać, że zmyliło się w mieszkaniu i weszło pomiędzy ludzi obcych.

Nie mówią niemal nic i otaczają się przysłoną mgły w chwili, kiedy ktoś z ludzi zrani je, czy chce przeniknąć. Przed paru dniami jeszcze, dzieci te były pośród nas, aż nagle są tak daleko, że nie śmiemy rozpoznać ich, ni zapytać. Odrazu stanęły niemal po drugiej stronie życia, i czujemy, że nadeszła pora stwierdzenia sprawy poważniejszej, bliższej człowiekowi, realniejszej i głębszej nad przyjaźń, litość, czy miłość. Trzepoce się to spazmem śmierci w głębi piersi waszej, a nie znamy tego zgoła, nie wspominamy i nie jesteśmy w stanie określić, bowiem tyle istot przechodzi przez życie, milcząc. Czas nagli, któż zaś z nas nie czekał aż do chwili, kiedy już nie było można dostać odpowiedzi?

Z jakiegoż to powodu przybyły owe istoty i czemu odchodzą? Rodzą się poto chyba jeno, by stwierdzić, że życie nie ma celu. Pocóż pytać, skoro nikt nie odpowie? Byłem często świadkiem tej sprawy, raz zaś obeszła mnie ona tak blisko, że zatraciłem świadomość, czy dotyczy kogoś drugiego, czy samego mnie.

Jeden z braci umarł w ten sposób. On sam tylko, rzecz można, był ostrzeżony dokładnie, my zaś wiedzieliśmy coś, nie otrzymawszy jednak owej przestrogi organicznej, którą posiadał od pierwszego zaraz dnia. Jakże poznać istoty, na których zaciążyć ma ważne wydarzenie? Wszystko jest tu niedostrzegalne, a jednak widzimy wszystko. Boją się nas te istoty, bowiem ostrzegamy je ciągle i to bezwiednie, a zaraz po pierwszym spotkaniu czują nasz wpływ niekorzystny na przyszłość swoją. Ukrywamy coś przed większością ludzi, sami nie wiedząc co. Dwie istoty spotykają się i od pierwszej zaraz chwili toczą pomiędzy sobą sprawy tajemne, dotyczące życia i śmierci. Są tam inne jeszcze, nienazwane dotąd tajemnice, owładające zaraz postępowaniem naszym, i spojrzeniem i wyrazem twarzy. Gdy ściskamy rękę przyjaciela, dusza nasza dopuszcza się niedyskrecji, przekraczających nieraz może nawet, próg tego życia.

Może nie istnieć pomiędzy dwoma ludźmi nie-szczerość myśli, są jednak sprawy głębsze, niż myśli. Nie mamy władzy nad tymi darami nieznanymi i zdradzamy ciągle proroka, który mówić nie umie. Wobec drugich nie jesteśmy nigdy tacy, jak wobec siebie samych, ani tacy, jak będąc z innymi w ciemności, spojrzenia nasze bowiem zmieniają się stosownie do tego, czy je kierujemy w prze-

szłość, lub przyszłość i dlatego to dajemy na siebie baczenie. Patrząc na tych, którzy żyć nie będą, dostrzegamy nie ich samych, ale to co ich czeka, oni zaś, chroniąc się, radziby zmylić czujność naszą, spragnieni omylenia własnej świadomości.

Czynią wszystko, by nas sprowadzić na manowce, ale w uśmiechu ich i rozmachu życiowym, fakt sam przebija wyraźnie, jak był racją i ostoją życia. Znowu zdradziła ich śmierć i spostrzegą ze smutkiem, iż wiemy wszystko, powiadomieni głosem, którego zmusić do milczenia nie sposób.

Któż zdoła określić potęgę wydarzeń i powiedzieć, czy my to właśnie jesteśmy niemi, albo może one nami? Rodzą się z nas, czy my z nich? Żali my je przyciągamy do siebie, żali one nas? Czyż my je przemieniamy, czy nas one? Skądże pewność, że się nie mylą? Dlaczego przylatują, niby pszczoły do ula, lub gołębie do gołębnika i gdzie chronią się te, które nas nie zastały? Skąd przybywają na spotkanie i z jakiego powodu podobne są do nas jak bracia? Czyż sferą ich działania jest przeszłość, czy przyszłość i czy najpotężniejszymi są przemienione już, lub też nie ziszczone jeszcze? Czyż przemienia nas dzień ubiegły, czy jutrzejszy? Wielu z nas spędza całe życie nieraz w cieniu faktu, który nie nastąpił jeszcze.

Widziałem owe poważne gesty, kroczenie ku

jakiemuś bliskiemu, zdało się, celowi, przeczucie wielkiego zamrozu i spojrzenie skierowane w coś, na co śmierć spaść miała niespodzianie i to zgola z zewnątrz. A ludzie ci spieszyli się taksamo jak noszący tę śmierć w sobie. Mieli tensam wyraz twarzy i życie wydawało im się sprawą równie ważną, jak tym, którym żyć było przeznaczone. Postępowanie ich cechowała tażsama rozwaga, pewność i skupienie. Spieszno im było stanąć w gotowości na oznaczoną godzinę, zdało się jakoby owo wydarzenie, niemożliwe do przewidzenia przez żadnego proroka, stanowiło samą treść istotną ich życia.

A więc śmierć kieruje naszym życiem, a celem życia jest śmierć. Śmierć jest wapnem spajającym cegły życia i twórczynią oblicza naszego. Należałoby rzeźbić same jeno twarze zmarłych, gdyż oni jeno są sobą naprawdę i posiadają wygląd rzeczywisty. Każde życie jest czyste, w chłodnem, bezpośredniem świetle, które pada na poduszkę konającego. Żaliż jest to tosamo światło, jakie błyszczy w oczach dzieci zapatrzonych w nas, zmuszające do milczenia, niby w pokoju zmarłego?

Gdy wspomnę zmarłych, spostrzegam gromadkę wyrostków płci obojga, wychodzących jakby z jednego domu. Są to bracia i siostry i poznają

się niejako po niedostrzegalnych przez nas cechach i dają sobie w chwilach, gdy nie widzimy, znaki milczenia. Dzieci te pamiętają ciągle o śmierci przedwczesnej.

Trudno je było rozeznąć w szkole. Szukały się wzajem i unikały jednocześnie, jak dotknięci jedną chorobą. Zbierały się, czasem na uboczu pod drzewami, spoglądając przeciągle i zaświatowo, jakby nie chciały zdradzić ważnej tajemnicy. Milkły zaraz, gdy się do ich grupy dzieci zbliżyły, mające żyć. Czyż rozmawiały ze sobą o śmierci, czy fakt ten mówił poprzez nie, wbrew ich woli i otaczał przysłoną, by się nie zdradzić obojętnym? Patrzyły na nas nieraz, jakby z wysokiej wieży, tak, że nie śmieliśmy dokuczać tym bezsilnym istotom.

W rzeczywistości wszystko jest jawne, wszyscy, którzy mnie spotykają, wiedzą co czynię, co czynić będę, co myślę, co myślałem, znają dobrze dzień śmierci mojej, nie znaleźli jeno dotąd sposobu wypowiedzenia tego, choćby szeptem, do własnego serca. Nawykliśmy przemilczać wszystko, czego dotknąć nie możemy ręką i wiedzielibyśmy może zbyt wiele, znając wszystko co wiemy. Żyjemy pobok życia istotnego i najtajniejsze myśli nasze nie obchodzą nas w rzeczywistości wcale, bowiem jesteśmy czymś wyższem nad myśli i marzenia

własne. Chwilami zaś tylko i niejako przez roztargnienie wiemy życie prawdziwe.

Kiedyż staniemy się takimi jak jesteśmy? Tymczasem byliśmy wobec tych ostrzeżonych jak z obcymi i trwożyli nas. Dzieci zwłaszcza takie biegały nieraz po kurytarzach i nie mogliśmy ich dogonić, brały udział w zabawach naszych, a zabawy przybierały zaraz inny charakter. Niektóre chodziły samotne, nie poznając rodzeństwa swego, odcięte od tych, które nie miały umierać. Ale jednak kochaliśmy je i uśmiechały się do nas przyjaźnie. Cóż je dzieliło od nas i co nas wszystkich dzieli? W jakichże głębiach tajemnych żyjemy wszyscy? Panowała i tu owa miłość niewysłowiona, dlatego że nie bierze udziału w życiu tego świata. Nie zniosłaby zapewne żadnej próby, wszędzie podejrzewa zdradę, a niweczy ją każda przyjaźń zwyczajna. Mimoto życie jej jest głębsze od naszego i dlatego tylko nie jest dla nas obojętną, gdyż wie, że przeznaczoną jest na czasy dalsze i pewniejsze.

Nie odzywa się tutaj, bowiem uświadamia sobie, iż przemówi później, a wszakże nie tych kochamy najmocniej, których najczęściej całujemy.

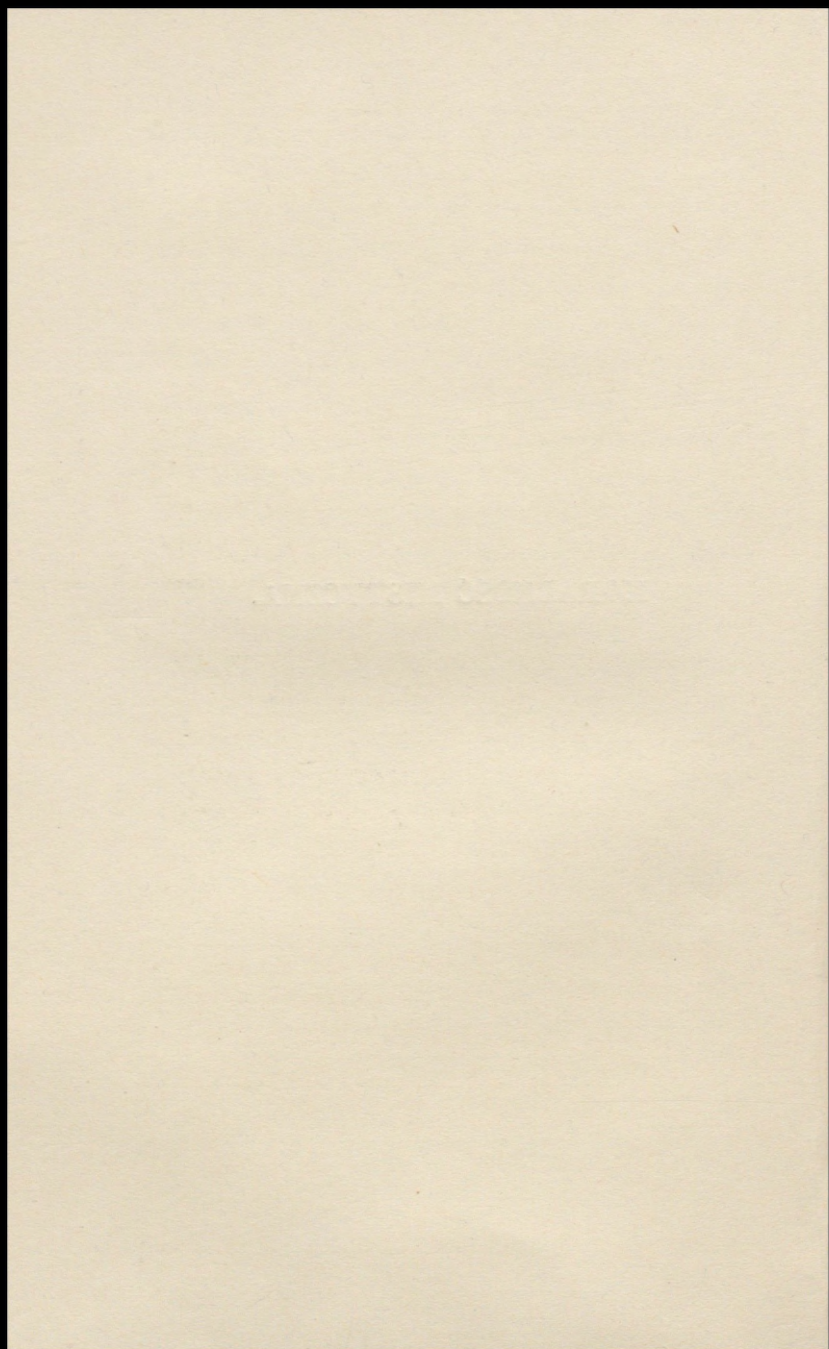
W ten sposób część życia i to najlepsza, najczystsza i największa nie wchodzi w skład powszedniego bytowania naszego, a nawet oczy za-

kochanych nie przenikają nigdy, niemal, owej zapory milczenia i miłości.

A może dzieci te unikały nas dla tego, że będąc młodsze, były jednocześnie starszemi? Czyliż odczuwaliśmy tę dziwną różnicę wieku i czyż baliśmy się ich jako sędziów? Oczy ich nie biegały już tak żywo jak nasze, a kiedy spoglądały na to co czynimy, nabierały niewiadomo czemu wyrazu ukojnego i zapadało na chwilę dziwne milczenie.

Odwracaliśmy się, a one patrzyły za nami z poważnym uśmiechem. Pamiętam dwoje, które czekała śmierć nagła, wszystkie naogół były jednak podobnie bojaźliwe i chciały by ich nie dostrzeżono. Jakaś wstydlivość śmierci przepelniała je, jakby pragnęły przebaczenia za grzech nieznany, którego się mają dopuścić. Przechodziły mimo nas, zamienialiśmy spojrzenia i rozłączali się, nie mówiąc nic i rozumieliśmy wszystko, nie znając niczego.

MORALNOŚĆ MISTYCZNA.



IV.

MORALNOŚĆ MISTYCZNA.

Nie ulega wątpliwości, że namiętności nasze kształtują decydująco niedostrzegalne poruszenia wewnętrzne. Istnieje tysiące pewników, podobnych zawołanym królewnom, za którymi kroczymy przez życie, nie mogąc się porozumieć słowami. Każde wyrażenie czegoś, pomniejsza wszystko dziwnie. Docieramy, zda się do dna, a gdy wypływamy na powierzchnię, kropla wody na palcu, zgoła nie jest podobna do morza. Odkryliśmy, niby grotę pełną niezmiernych skarbów, a znajdujemy w niej naraz podrabiane kamienie i szkło, mimo że skarb tkwi dalej w ciemni. Istnieje coś nieprzeniknionego pomiędzy nami, a duszą naszą i nieraz, jak powiada Emerson „pożądamy gorąco cierpienia, w dzień dotarcia do rzeczywistości i odczucia ostrych kantów i załamów prawdy.“

Powiedziałem wyżej, że dusze zbliżają się, a opieram to na wrażeniu, nieustannem co prawda,

lecz trudnoby mi przyszło ustalić fakty. Fakty są to włóczęgi, wywiadowcy, lub ciury potęg wielkich, a niedostrzegalnych. Nie można jednak zaprzeczyć, że czujemy silniej, niż ojcowie nasi obecność czegoś, czy kogoś obok siebie, a zarówno wierzący jak i niewierzący nie zachowują się w ten sposób, jakgdyby pewni byli, iż są sami. Opieka ogarniająca wszystko tkwi gdzieś indziej, poza sferą ciemną, a pobłażliwą¹ osobistego sumienia człowieka. Czy więc urny ducha są mniej szczelnie zawarte niż przedtem, czy może wzrósł ruch fal wewnętrznego oceanu? Niewiadomo, dość że nie przywiązujemy już tyle wagi do znacznej liczby tradycyjnych błędów, a jest to już oznaką duchowego zwycięstwa.

Moralność nasza ulega zmianie i posuwa się zwolna ku wyżom niedostrzegalnym jeszcze, co prawda. I dlatego może jest to czas odpowiedni, by zadać sobie kilka nowych pytań.

Cóżby się stało na przykład, gdyby dusza nasza przybrała kształt widzialny i musiała kroczyć w tłumie sióstr swoich, rozpowita z osłon, a obciążona całem brzemieniem najtajniejszych myśli i wlokąca za sobą czyny przedziwne życia, których nic wysłować nie może. Czegóżby się wstydzić miała? Cóżby chciała skryć? Czyżby rzuciła, jak cnotliwa kobieta, długi płaszcz włosów na bezlik

grzechów ciała? Nie знаła ich i grzechy te nie dosięgły jej wcale. Popelnione zostały o tysiąc mil od jej tronu, a dusza sodomity nawet, szłaby spokojna, nie domyślając się niczego, z przeczystym uśmiechem dziecka na obliczu. Nie brała w niczem udziału, żyła w słońcu i pamięta tę jedyną życia stronę.

Jakichże się mogła dopuścić zbrodni pospolitych? Czyż zdradziła, oszukała, skłamała? Czyż skrzywdziła i wycisnęła łzy? Jakże daleko była, gdy człowiek wydawał braci swoich wrogom? Łkała może zdala od niego, a chwila ta uczyniła ją głębszą i piękniejszą. Nie może czuć wstydu za to, czego nie uczyniła, a czystości jej nie kala zbrodnia nawet. Często przemienia w światłość wewnętrzną zło, które się obok niej dzieje. Wszystko zawisło od czynnika niedostrzegalnego, który jest również źródłem niewytłumaczalnej pobłażliwości bogów.

I naszej pobłażliwości także. Przebaczymy ciągle, a gdy przejdzie wielka godzicielka, śmierć, każdy z nas klęka w milczeniu i czyni gest przebaczenia. Nie myślę wcale o zemście, pochylając się nad martwym ciałem mego najgorszego wroga, patrząc na blade wargi, które mnie oczerniały, zamarte oczy, które się radowały, gdy z moich płynęły łzy, oraz bezwładne ręce, które mnie może

nawet dręczyły. Nie! Wszystko wyrównał przełot śmierci. Dusza nie jest moją dłużniczką i stawiam ją instynktownie powyż najstraszniejszych zbrodni i najcięższych przewinień. Nie żal mi też w takiej chwili, iż nie mogę dawnego nieprzyjaciela dręczyć wzajem, ale raczej żałuję, iż nie pokochałem go jak przystało i nie przebaczyłem wcześniej.

Zdaje się jakobyśmy rozumieli już te sprawy w głębi duszy. Nie sądzimy bliźnich wedle myśli, najtajniejszych nawet, choć myśli takie dadzą się często odcyfrować, ale w sądach naszych sięgamy poza to co nieczytelne. Ktoś popełnił n. p. mnóstwo zbrodni, dopuścił się wszystkich grzechów, a obecność jego przepaja nas czystym powiewem jakichś wyższych duchowych. Zbliżamy się do męczennika, czy mędrca, a duszę okrywa nam gęsta, nieprzenikniona ciemność. Bohater, lub święty może często znaleźć przyjaciela w człowieku, na którego twarzy widne wyraźnie piętno myśli niskich, a nie odczuje atmosfery bratniej, obcując z kimś, w którego oczach błyszczy zachwyt dla wszystkiego co szczytne i szlachetne.

Cóż to znaczy i cóż nam to wieści? Muszą istnieć prawa głębsze nad te, które rządzą czynami i myślami! Czegóż nas one nauczyły i czemu kierujemy się zawsze zasadami, o których nikt nie wspomina, a wszyscy czują, iż są jedynie pewne?

Nie ulega wątpliwości, że wbrew pozorom nie omylił się bohater, ni święty. Obaj ulegli jeno tym prawom, a choćby człowiek wybrany przez świętego, zdradził go i zaprzedał, pozostanie zdradzonemu pewnoś niezachwiana, iż nie popełnił omyłki i niczego żałować nie potrzebuje. Dusza nie zapomni nigdy, że druga dusza była jasna i czysta.

Podnosząc głos, nieznany niemal, sławiący te tajemnice, czujemy wiew przepaści, a słowa i myśli padają wokół nas, niby potrute muchy. Całe nawet życie wewnętrzne wydaje się drobnostką wobec tych głębi wieczystych. W obecności anioła nie czułby się dumnym człowiek wolny od grzechu, gdyż uświadomiłby sobie, że jest to niewinność niższego typu. Jezus, potępiający nikczemne myśli faryzeuszów, otaczających paralityka w Kafarnaum, dostrzegał niewątpliwie jaśń wiekuistą ich dusz, powyż tych myśli polyskującą. Nie byłby inaczej Bogiem! Czemuż atoli przemawiał, jakby poprzestawał na tych jeno zewnętrznych sprawach? A może myśl nikczemna, czy przeciwnie szczytna pozostawia ślad na tym cokole z djamentu? Czyż Bóg, o ile patrzy z wysoka, mógłby się powstrzymać od uśmiechu na widok najcięższych win naszych, podobnie jak my uśmiechamy się, patrząc na szczeniaki, igrające po dywanie? A czemuż byłby Bóg do tego uśmiechu niezdolny? Będąc na-

prawdę czystymi, nie krylibyśmy przed aniołami drobnych motywów naszych wielkich czynów! Ileż bowiem małości tkwi w nas i czemuż by one wydały się areopagowi bogów obradujących na szczycie góry? Dusza nasza wie dobrze, iż ma zdać z tego wszystkiego sprawę. Żyje ona, nie mówiąc nic pod władzą wielkiego sędziego, którego wyroków pojąć nie jesteśmy zdolni. Jakieżto zdać ma rachunki i gdzie szukać moralności, któraby nam je określiła? Czyż jakaś moralność mistyczna panuje poza sferą myśli? Czyż lśni kędyś niewidzialne słońce, którego niklemi jeno planetami są najskrytsze pragnienia nasze? A może z głębi naszej istoty wyrasta przedziwne, krystaliczne drzewo, którego znikomymi jeno liśćmi i kwiatami są czyny nasze i cnoty? Nie wiemy, w gruncie rzeczy, jakiego zła dopuścić się może dusza nasza, a także, coby nam przyniosło wstyd w oczach inteligencji wyższej, czy nawet drugiej duszy, a jednak ktoś z nas uważa się za czystego, nie drży przed sędzią i któraż dusza nie czuje strachu przed duszą inną?

*

Nie jest to już terytorjum znane życia animalnego, czy psychicznego. Zbliżamy się do bram trzeciego muru, do osiedla boskiego, mistycznego życia.

Omackiem jeno przekraczamy próg, a dokonawszy tego, spostrzegamy, że znikły nagle wszystkie powniki. Gdzież są ukryte przedziwne prawa, które ciągle przekraczamy, o czym nie wie sumienie nasze, a co przeczuwa dusza? Skądże się bierze cień, wywołany swem tajemniczem przekraczaniem, który pada często na całe życie, czyniąc je nieznośnem? Jakieżto grzechy transcendentalne możemy popełnić? Żaliż to wstyd, iż toczyliśmy walkę z duszą naszą, czy wstyd duszy, bojującej niedostrzegalnie z Bogiem? Przedziwna to walka, której szmer najlżejszy nie przeciska się przez mury! A może mogliśmy w pewnym momencie usłyszeć królowę milczącą?

Nie mówi, o ile idzie o wydarzenia na powierzchni, ale są może inne, ledwo dostrzegalne, będące jednak wynikiem sił wieczystych i głębszych. Oto ktoś umiera, spogląda, lub płacze, ktoś podchodzi do nas poraz pierwszy, spotykamy wroga..., może ona szepce w tej chwili?

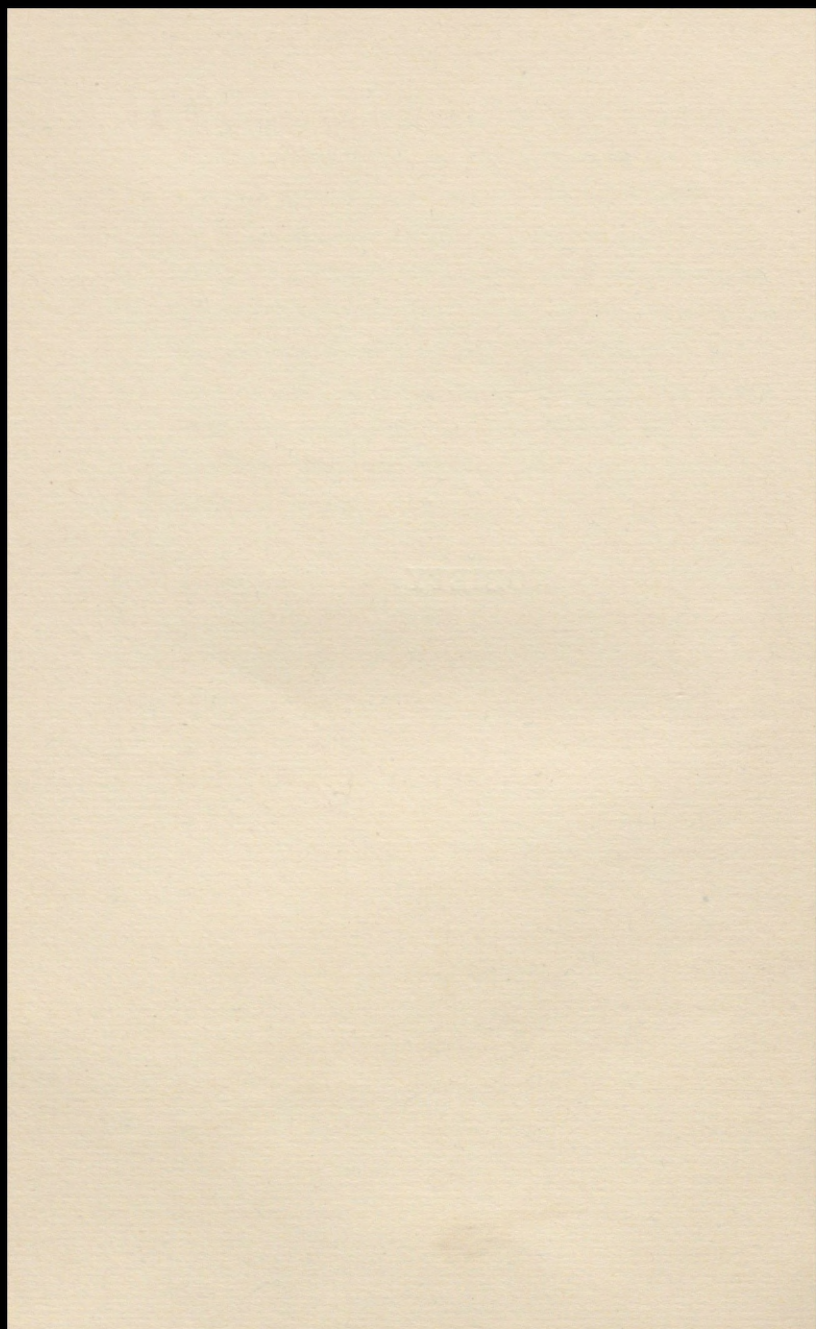
A gdyby się zdarzyło, że słyszysz ją w chwili, kiedy uśmiechasz się do przyjaciela, którego nie będziesz kochał w przyszłości?

Wszystko to jest zresztą niczem i nie zbliża nas nawet do światła, połyskującego na skraju przepaści. Nie sposób nawet mówić o tem, gdyż jesteśmy zanadto osamotnieni.

— Dzisiaj — powiada Nowalis — dusza porusza się tylko częściowo, kiedyż zacznie żyć w pełni i kiedyż ludzkość cała nabierze świadomości?

Wówczas jeno niektórzy z pośród tej masy dowiedzą się czegoś. Musimy czekać na ukształtowanie tej świadomości wyższego typu, a postępuje ono zwolna. Ktoś z potomków naszych zdoła wówczas dopiero wyrazić to co przeczuwamy w zakresie tej drugiej strony duszy, której, jak połowy księżyca, nikt nie widział, od samego początku życia na ziemi.

KOBIETY.



V.
KOBIEITY.

I tutaj nie znamy praw istotnych. Ponad głowami naszymi połyska gwiazda przeznaczona nam miłości, a każda z nich zrodzi się aż do końca w promieniach i atmosferze tej gwiazdy. Możemy szukać na prawo i lewo, wysoko, czy nisko, możemy czynić do woli wysiłki przełamania tego zakłętego koła, które jak wyczuwamy, otacza każdy akt życia, możemy gwałcić instynkt i wybierać wbrew nakazom gwiazdy naszej, natrafimy zawsze na kobietę, zstępującą z tej właśnie gwiazdy niezmiennej. Gdybyśmy posiadli, jak Don Juan tyśiąć i trzy, spostrzeżemy, gdy ramiona opadną i rozewrą się usta, że była to ta właśnie kobieta, bez względu, zła czy dobra, czuła czy okrutna, wierna czy niewierna.

W rzeczywistości nie przekraczamy nigdy tego małego kręgu, jakim nas otoczyło przeznaczenie, a ludzie najodleglejsi znają napewne ton i zakres

tego nieprzekraczalnego koła. Barwę owych promieni duchowych spostrzegają odrazu i podają nam dłonie z uśmiechem, lub cofają się trwożnie. W tej atmosferze wyższej jesteśmy dobrymi znajomymi wszyscy, a idea, jaką sobie wytwarzam o człowieku nieznanym, oparta jest bezpośrednio na prawdzie tajemnej, głębszej niż prawda materialna. Któż z pośród nas nie odczuł tego, co się dzieje w sferze niedostępnej ludzkości, astralnej niemal?

Otrzymujemy list z jakiejś wyspy pośród bezkresu oceanów i nie wiedzieliśmy nigdy nic o autorze jego. Czyliż mamy pewność, że jest to człowiek nieznanym i czyż w chwili czytania nie poznajemy odnośnie do jego duszy prawd pewniejszych i głębszych, niż powszednie? A z drugiej strony czyliż moglibyśmy zaprzeczyć, że dusza ta myśląca o naszej, poprzez dale przestrzeni nie miała pewników takich samych? Dziwne uświadomienia otaczają nas wkoło i nie możemy ukryć swego istnienia. Wymiana listów pomiędzy dwoma ludźmi nieznanymi i towarzysząca jej tajemnica, rzuca najlepsze światło na nici subtelne, które łączą dusze wszystkich. Jest to mała jeno szparka w niepoznawalnem, ale musimy poprzestać na najbledszym nawet świetelku. Jest to, zaprawdę, wątle pęknięcie w bramie ciemności, możemy przez nie

atoli ujrzyć na moment bodaj to, co się dzieje w nieodkrytych dotąd zgoła grotach skarbów.

Spojrzymy na listy wzajemne dwu, nieznanym nam ludzi. Są nam równie obce, ale wiemy odrazu, że nie moglibyśmy odpowiedzieć taksamo jednemu, jak drugiemu z nich. Dostrzegamy co niedostrzegalnego. Otrzymawszy list od kogoś, którego nigdy nie widziałem, wiem, że nie napisałby taksamo do przyjaciela mego, na którego patrzę w tej chwili. Istnieje tu różnica duchowa, gest duszy, pozdrawiającej duszę drugą. Trzeba przypuścić, że znamy się w jakiejś niedosiężnej nam sferze i mamy wspólną ojczyznę, do której odchodzimy, gdzie się spotykamy i skąd wracamy znowu bez żadnej trudności.

W tej to właśnie ojczyźnie bierzemy sobie kochanki i dlatego nie popełniamy omyłek, jak również i one. Królestwo miłości, to w pierwszej linii dziedzina pewników, bowiem tam dusze mają najwięcej wolnego czasu. Zajmują się wyłącznie wzajemnem poznaniem, podziwianiem i rozmową, przerywaną łzami rozczenia. Są to niby siostry związane po długim rozstaniu, obejmują się przeto, całując czule. Starczy im tam czasu na uśmiech i na życie dla siebie samych, czego nie dopuszcza powszednie bytowanie na ziemi. Ów uśmiech i rozmowa w wyżynnych sferach sprawia zapewne,

że najblachsze chwile miłości posiadają urok ogromny. To jest, niewątpliwie, ową tajemniczą solą, która zachowuje nietkniętem na zawsze wspomnienie pocałunku.

Mam tu oczywiście na myśli jeno miłość predestynowaną i prawdziwą. Od pierwszego wejścia jesteśmy ostrzeżeni jeśli napotkamy jedną z tych kobiet, które nam przeznaczył los i wysłał z osiedla ducha na rozstajne drogi ziemi, kędy przechodzimy o oznaczonej godzinie. Czasem usiłuje ktoś zgwałcić przeznaczenie, walczy drobnymi siłami swemi z potęgą wiekuistą, zasłania oczy i idzie ku innej, przeznaczonej nie dla siebie wysłance. Daremny to jednak wysiłek „zmaczenia wody w cichej cysternie przyszłości.“ Pocałunki te nie skłonią ku sobie czystej potęgi wyżyn i nie dadzą rzeczywistego szczęścia w życiu.

Przeznaczenie zamyka czasem oczy, wie jednak, że wrócimy wieczorem i że ono wypowie słowo ostateczne. Może zamknąć oczy, ale straconym jest ten czas, kiedy nie patrzy.

Kobiety, zda się, podlegają bardziej przeznaczeniu, niż mężczyzna. Bierze je poprostu i nie walczy. Jest bliższą Boga i z mniejszą rezerwą przystępuje do tego misterjum. Dlatego to każde wydarzenie, w które jest wmieszana, zbliża nas do czegoś co przypomina samo źródło przeznaczenia.

W obcowaniu z kobietą mamy chwilami „jasne pocucie“ życia, niepodobnego do życia ziemskich pozorów. Zbliża nas ona do bram istoty naszej.

Być może, że bohaterowie poznawali siłę i wierność gwiazdy swojej, w chwilach, kiedy spoczywali na kobiecej piersi, a człowiek, który tego nie czynił, nie będzie nigdy miał jasnego przeczucia przyszłości.

Wkraczamy tu znowu w kręgi świadomości wyższej. Zaprawdę, i tutaj poznajemy, że „tak zwana psychologia jest jedną z owych larw, które przywłaszczyły sobie w świątyni miejsce przeznaczone dla prawdziwych wizerunków bożych.“ Nie idzie tu bowiem zawsze o samą powierzchnię jeno, ani nawet o wspomnienia wielkiej doniosłości. Nie sądźmyż, że w miłości główną odgrywają rolę myśli, czyny i słowa, a dusze pozostają dalej w więzieniu. Pocóż mi wiedzieć czy ta, którą obejmuję dziś, jest zazdrosna i wierna, wesola, czy smutna, szczerza, czy obłudna? Nędzne słowa, jakie zamieniamy pomiędzy sobą, nie dotrą do wyżyn, gdzie żyją w milczeniu dusze nasze. Obojętne, że mi kochanka mówi o pogodzie, klejnotach, piórach, szpilkach i udaje jakoby mnie nie rozumiała. Zbytecznem jest mi słowo górnołotne, skoro czuje spojrzenie duszy w duszę. Wiem, iż najszczytniejsze myśli nie śmia podnieść głowy

wobec tajemnicy. Trwam ciągle u wybrzeży oceanu i gdybym był nawet Platonem, Paskalem, czy Michałem Aniołem, a kochanka moja rozmawiała by ze mną o kolczykach, rozmowa nasza unosiłaby się ciągle na powierzchni wewnętrznego morza, które widzimy w sobie wzajem. Najgórniesza myśl moja nie zaciężałaby na wadze życia, czy miłości bardziej, niż kilka słów kochającego mnie dziecka na temat srebrnego pierścionka, naszyjnika z pereł, czy kawałka szkła.

Nie pojmujemy tych spraw, bowiem żyjemy ciągle w podziemiach inteligencji swojej. Dość wyjść na skraj lodowca górskiego, a wszelkie nierówności wygładzi dłoń rozwierającego się widnokręgu. Jakaż istnieja różnica pomiędzy słowem Marka Aureljusza, a skargą dziecka, któremu zimno? Bądźmyż skromni i uczmyż się odróżniać rzecz przypadkową od zasadniczej. Na widok kawałka drzewa, pływającego po fali, nie powinniśmy zapominać o głębinie, pełnej cudów. Najpiękniejsze myśli i najnikczemniejsze porywy są tak obojętne, jak szczyty himalajskie i przepaści mórz, które nie naruszają zgoła kulistości ziemi, oglądanej z oddali gwiazd. Spojrzenie, pocałunek i obecność czegoś mocarnego, choć niewidzialnego, oto wszystko, a czujemy się równymi sobie wzajem.

Równość ta posiada przytem cechy przedziwne, najostatetniejsza bowiem nawet dziewczyna, gdy raz pokocha, nabiera nieosięgalnej dla nas, mężczyzn treści. Miłość jej jest przejawem wiekuiwości. Z tego właśnie powodu kobiety działają, jak moce żywiołowe, w sposób nam niedostępny. Najlepsi z pośród nas żyją przeważnie zdala od skarbów swych, drugiego pierścienia murów, a kiedy życie w ważnej chwili domaga się klejnotu takiego, nie możemy przypomnieć sobie ścieżki wiodącej tam i składamy w darze fałszywe klejnoty inteligencji i to nadaremnie, gdyż los władczy omamić się nie da. Kobieta natomiast nie zapomina nigdy, którędy ma iść ku miejscu centralnemu swej istoty i w dostatku, czy nędzy, prostocie ducha, czy wiedzy, hańbie, czy sławie za pierwszym słowem mężczyzny, dolatającem z dziewiczych bezdni duszy, wkroczy natychmiast, bez wahania na tę ścieżkę tajemną, przynosząc, zaczerpnięte z ogromnego skarbcza miłości, słowo, spojrzenie, lub gest równie czysty.

Rzec można, ma zawsze pod ręką duszę swoją. Dniem i nocą gotowa jest zaspokoić największe wymagania duszy drugiej, a ten posąg najbiedniejszy dziewczyny równy jest posagowi królowej.

Zbliżajmyż się z szacunkiem zarówno do najpotulniejszej, jak i pełnej dumy, do roztargnionej,

marzącej, roześmianej, czy wylewającej łzy, wszystkie bowiem znają rzeczy nam niedostępne i posiadają lampkę, która nam zaginęła. Mieszkają one u samych stóp konieczności i znają lepiej, niż my jej ścieżki. Stąd płynie zdumiewająca pewność i powaga ich czynów najbliższych, czują one, iż je podtrzymują silne dłonie bóstw wielkich.

Wspomniałem już, że nas zbliżają do bram naszej istoty. Istotnie zdaje się, jakobyśmy się komunikowali z kobietami przez uchylone drzwi wieczności i to szeptem niezrozumiałym z czasów narodzin wszechrzeczy, kiedyto nie mówiono głośno z obawy zakazu, czy nieprzewidzianego naporu woli wyższej.

Kobieta nie przekracza nigdy progu i wзира jeno z dziedziny, kędy biją źródła, a gdy na pukanie drzwi uchyla, pamięta o kluczu i kłamce, których nie wypuszcza z dłoni.

Rzuciwszy spojrzenie temu, który się jawi, wie wszystko co wiedzieć trzeba, aż po koniec wieków. Jakże wysławić to co mieści w sobie pierwsze spojrzenie miłości, „owa różdżka czarodziejska, utworzona z pęku promieni świetlnych,“ które wysyła przedwieczne ognisko istoty naszej, odmładzając i przeistaczając dwie dusze?

Brama rozwiera się ponownie, lub zamyka, nie czyniśmy jednakże próżnych wysiłków, bowiem

wszystko zostało załatwione. Kobieta wie wszystko. Przestaje liczyć się z czynami, słowami i myślami mężczyzny, a jeśli nad nimi czuwa potem, to czyni to, uśmiechając się pobłaźliwie i nie popełniając omyłki, odrzuci wszystko co będzie sprzeczne z pewnikami pierwszego spojrzenia.

Nie próbujmyż jej zwodzić, bowiem wbrew wszystkiemu ma słuszość, a my to sami błądzimy właśnie. Kobieta widzi nas takimi, jacy jesteśmy, a nie jakimi być mniemamy i nie błądzi, mimo, że nie rozumie często uśmiechu, gestu, czy łzy.

Są to skarby ukryte i też nazwy! Radbym, by ci, którzy uważają kobiety za złe, przytoczyli powody. Badając je, zaszlibyśmy daleko w dziedzinę tajemnic. Są to w istocie okryte zasłonami siostry wszystkich rzeczy wielkich, których nie widać, najbliższe krewne nieskończoności otaczającej nas, zdolne uśmiechać się do niej poufnie, jak dziecko, nie czujące strachu przed ojcem. Niby skarb niebiański, a bezpożyteczny tu na ziemi, przechowują sól czystą duszy naszej, a gdyby ich zbrakło, sam jeno rozum królowałby wśród pustyni. Drga w nich jeszcze boskie wzruszenie pierwszych zaczątków życia, a korzenie ich sięgają bardziej bezpośrednio, niż nasze, we wszystko co nie ma granic.

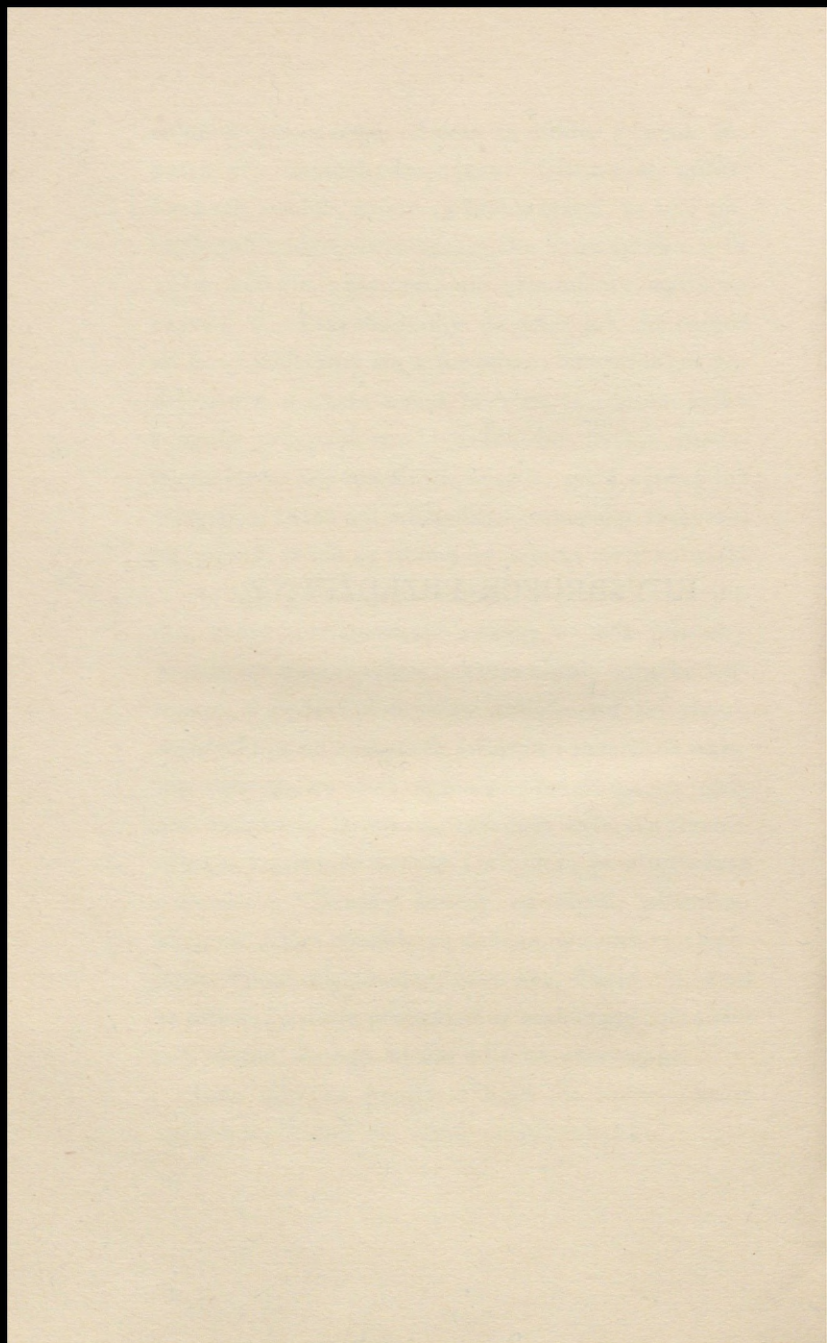
Żałuję wielce tych, którzy się żalą na nie, nie wiedzą bowiem, na jakie wyżyny wznosi się po-

całunek prawdziwy. Jakże są nikle, gdy na nie patrzymy mimochodem jeno. Ukryte w mieszkankach swoich, zajęte są drobiazgami, ta stoi pochylona i nadśluchuje, tamta lka, inna śpiewa, a ta znów haftuje. Słowem, nie rozumiemy zgoła co czynią!... Przychodzimy do nich jak do czegoś co bawi, zbliżamy się z umysłem, nastrojonym podejrzliwie, a dusza nasza jawi się tu czasem tylko i zgoła przypadkowo. Mężczyźni pytają niedowierzająco, one nie mówią im nic, gdyż wiedzą już wszystko, to też oni odchodzą, wzruszając ramionami, pewni, iż nie są zdolne do pojęcia czegokolwiek.

— Cóż powinny zrozumieć, — mówi nam poeta, który ma słuszość zawsze — coś powinny zrozumieć dusze szczęsne, które obrały część najlepszą, a będąc płomykiem miłości na tej ziemi, rozbłyskują na szczytach świątyń i masztach okrętów tułaczy, na znak ognia niebiańskiego, co ogarnia wszystko. Dzieci te, miłujące całe stworzenie, ujmują tajemnice natury i wieszczą je z niewinną naiwnością. Uczony kroczy za nimi, zbierając klejnoty, które rozsiał po drodze, w radosnem upojeniu. Poeta odczuwający to co one, dzięki im czyni za miłość i usiłuje przesadzić w inne czasy i inną ziemię ziarna złotego wieku od nich otrzymane.

Cała mistyka poezji to hołd dla kobiet, które zachowały dotąd na ziemi zmysł mistyki.

RUYSBROECK PRZEDZIWNY.



VI.

RUYSBROECK PRZEDZIWNY.

Dużo jest książek regularniej pięknych od dzieła Ruysbroecka Przedziwnego. Znam wielu mistyków, oddziałujących skuteczniej i chętniej przyjmowanych, jak n. p. Swedenborg i Nowalis. Utwory jego odpowiadają może mniej potrzebom współczesnym. Przyznaję też, że jest on tak niezręczny jak żaden z autorów, że chwilami popada w dzieciństwo, a dwadzieścia pierwszych rozdziałów „Ozdoby duchowych godów“ (*l'Ornement des Noces spirituelles*), mimo że stanowią potrzebne może przygotowanie, zawierają same jeno komunały nabożne, nikle bardzo.

Zewnętrznie biorąc, brak mu wszelkiego ładu i scholastycznej logiki. Powtarza się często i przeczy sobie poniekąd. Łączy naiwność dziecka z wiedzą człowieka, który wrócił z poza wrót śmierci. Jego tetoniczna składnia okrywała mi nieraz czoło potem. Wprowadza jakiś obraz i zapomina go

zaraz, a także daje obrazy niewyobrażalne wprost. Owo zjawisko, anormalne, w dziele dobrej wiary wytłumaczyć można chyba jeno niezręcznością, lub ogromnym pospiechem. Obcą jest mu zazwyczaj sztuka słowa, a mówi najlepiej o tem, co niewysłowialne. Nieznane mu są nawyki, sposoby i metody myśli filozoficznej i upiera się myśleć o rzeczach nie do pomyślenia. Natomiast, kiedy nam opisuje swój ogródek klasztorny, ma ledwo czas powiedzieć, co się tam dzieje i pisze, jak dziecko. Chce opisać co się dzieje w Bogu i znajdujemy wówczas ustępy, któreby zaszczyt przyniosły Platonowi. Wszędy widna dysproporcja potworna pomiędzy wiedzą, a nieuctwem, siłą i pożądaniem. Nie jest to dzieło literackie, ale coś jak konwulsyjny lot orla pijanego, ślepego i krwawego ponad śnieżnymi szczytami.

Dodam tu jeszcze słów kilka dla braterskiego ostrzeżenia. Czytałem nieraz dzieła dużo abstrakcyjniejsze, z którymi ten autor ma dużo analogji, jak n. p.: „Uczniowie z Sais“ i „Fragmenty“ Nowalisa, „*Biographia litteraria*“ i „*Przyjaciel*“ Samuela Taylora Coleridge’a, „*Timeus*“ Platona, „*Enneady*“ Plotyna, „*Nomina divina*“ św. Dionizego Aeropagity, „*Aurora*“, wielkiego mistyka niemieckiego, Jakóba Boehme. Nie twierdzę, by dzieła Ruysbroeka były bardziej nieprzystępne,

niż wymienione, ale dziełom tego autora trudniej przebaczyć tę obstrukcyjność, gdyż napotykamy tu coś nieznanego, do czego od samego zaraz początku nie mamy zaufania.

Uznaję za konieczność przestrzec opieszających na samym progu tej świątyni, nie posiadającej architektury, a tłumaczenie moje podjąłem jeno dla użytku niewielu platoników. Sądzę, że ludzie nie zaprzyjaźnieni z Platonem i neoplatonikami Aleksandrji z trudnością znaczną będą czytać tę książkę. Znajdą się w próżni, doznają wrażenie upadku bez końca w niezgłębioną przepaść wśród gładkich, czarnych ścian skalnych. Niema w tej książce powietrza, ani światła zwyczajnego, co czyni ową atmosferę duchową niemożliwą do zniesienia dla nieprzyzwyczajonych. Ciekawości literackiej zaspokoić tu niepodobna, brak bowiem zupełny fraszek, a szukający obrazów, doznają rozczarowania, jak gdyby chcieli znaleźć kwiaty na ławicach lodowych bieguna. Jest to pustynia bezkreśna, gdzie umrą z pragnienia. Nie ma tu frazesów, które można ująć i podziwiać po literacku, same jeno smugi płomieni i głazy lodu. Nie jedźmyż do Islandji po róże. Może tam gdzieś czeka nas kilka kwiatów pośród dwu lodozwałów, natrafiamy istotnie na przedziwne wybuchy, wyrażenia nieznane i porównania bezprzykładne, ale nie opłaci

się iść po nie aż tak daleko. By tu dotrzeć, trzeba być w stanie filozoficznym tak różnym od zwyczajnego, jak jawa i sen. Ostrzeżenie stosowne na wstęp do książki tej, jakby umyślnie napisane, znajdujemy w „*Zasadach teorii poznania*“ starego Porfirjusza.

— Mianem inteligencji zwiemy pierwiastek wyższy w gruncie rzeczy od inteligencji, a intuicja odczuwa lepiej brak myśli, niż myśl samą. Dzieje się tu podobnie jak ze snem, o którym mówimy aż do pewnej granicy jawy, a jednak sam tylko sen daje nam pojęcie o jego rzeczywistej istocie. Tylko podobnemi do siebie rzeczami można te rzeczy uświadamiać sobie, a warunkiem wszelakiego poznania jest, by podmiot był podobny do przedmiotu.

Powtarzam, że Ruysbroecka trudno zrozumieć bez przygotowania, a obawiam się, iż nawet po takim przygotowaniu znaczna część tego mistycyzmu będzie nam czysto teoretyczną. Doświadczenia te z zakresu psychologii nadprzyrodzonej będą nam dostępne jeno jako widzom. Wyobrażenia filozoficzna wymaga długiego szkolenia. Znajdujemy się tu nagle na kresach myśli ludzkiej i poza kołem biegunowem umysłu. Mróz straszliwy i ciemń panują tu, a mimo to otaczają nas płomienie i toniemy w światłości. Tym, którzy do-

cierają tam, z duszą niewyćwiczoną, by pojąć to światło i płomienie, są one tak ciemne i zimne, jakby były jeno namalowane. Idzie tu o najściślejszą z wszelakiej wiedzy, o wdarcie się na najbardziej strome i najbezludniejsze szczyty tezy: „poznaj siebie samego.“ Zorza północna błyszczy nad bezkresem oceanu, a psychologia człowieka miesza się z psychologią Boga.

Musimy pamiętać nieustannie, że mamy tu do czynienia nie z marzeniem sennem, ale najgłębszą wiedzą. Sny nie są jednolite i nie zapuszczają korzeni, podczas gdy kwiat przedziwny boskiej metafizyki, rozkwitający tutaj, tkwi korzeniami w Persji, Indjach, Egipcie i Grecji. Mimo to jednak wydaje się nieświadomym i nie wie, jakoby nic, o korzeniach swoich. Niestety jest niemal niemożliwością, by dusza nasza pojęła tę wiedzę bez wysiłku, nie możemy jej uchwycić *ab intra* i reprodukować w nas samych. Brak nam tego co Emerson zowie „spontaniznością centralną.“ Nie możemy przemieniać tych idei w substancję własną i conajwyżej z zewnątrz stwierdzamy owe cudowne eksperymenty, dostępne małej jeno liczbie dusz, w ciągu bytowania danego systemu planetarnego.

— Nie jest uzasadnionem dociekanie, skąd pochodzi ta wiedza intuitywna, jakby to była sprawa zależna od miejsca i ruchu, — powiada Plotyn —

albowiem nie zbliża się do nas z danego punktu, ani też nie oddala w jakimś kierunku, ale prosto posiadamy tę wiedzę, lub nie możemy jej osiąść. Próżnem jest przeto śledzić tajemne jej źródła, ale należy czekać w milczeniu, aż nagle rozbłyśnie w nas i sposobić się w skupieniu, jak oko oczekujące wschodu słońca.

A dalej powiada:

— To co niepoznawalne, to co jest tam, wysoko, nie da się uchwycić rozumowaniem, ni wyobraźnią, ale docieramy doń wyłącznie przez skupienie i kontemplację. Tylko ta metoda pozwala nam tu na ziemi coś zrozumieć. Winniśmy przeto budzić w sobie te same zdolności, które służą do ujęcia rzeczy poznawalnych. Podobni jesteśmy człowiekowi, wychodzącemu na szczyt góry. Dostrzega on rzeczy niewidzialne dla tych, którzy nie poszli wraz z nim.

Wszystkie istoty, od kamieni i roślin, aż do człowieka zdolne są jeno do kontemplacji nieświadomej, ale nader trudno obudzić w sobie wspomnienie, tę dawną, świadomą, a zmarłą zdolność kontemplacji aktywnej. Podobni jesteśmy oku, o którym mawiali neoplatonicy, że:

— Odwraca się od światła, by ujrzeć ciemność i z tego powodu nic nie widzi, gdyż bez światła

widzieć nie może. Nie widząc atoli, widzi ciemność o tyle, o ile ją oczywiście widzieć zdoła.

Wiem dobrze, iż ogół uzna tę książkę za utwór mnicha nawiedzanego zwidywaniami, samotnika, upojonego postem i żartego gorączką. Uznają to za marzenie, jeno dziwaczne, ciemne, prześwietlane błyskawicami. Tak zazwyczaj traktujemy mistyków, zapominając, że wszelaki pewnik tkwi w nas samych jeno. Jeśli jednak, co przyznano, człowiek jest Szekspirem w marzeniach swoich, należałoby spytać, żali każdy z nas w życiu powszednim nie jest mistykiem niesformulowanym, tysiąc razy bardziej transcendentalnym, niżli ci, którzy zdołali się wypowiedzieć w słowach. Wszakże istotny motyw każdego czynu ludzkiego jest mistyczny! Czyż spojrzenie kochanka, lub matki nie jest o wiele bardziej niepojęte, tajemnicze i mistyczne od tej nikłej i łatwej zresztą w gruncie książki, jaką jest każda książka, bowiem wszystkie zawierają jeno tajemnice martwe, których widnokrąg nie odnawia się już wcale? Kto tego nie pojmie, nie pojmie niczego chyba.

Sądzę jednak, że niektórzy zrozumią bez trudu, iż Ruysbroeck nie jest zgoła mnichem oszalałym z głodu, samotności i gorączki, ale przeciwnie mędrce o umyśle ścisłym i subtelnym, oraz że posiada organ filozoficznego myślenia nie-

dośćcignionej subtelności. Żył, pono w Groenendaelu, pośród lasów Soignes, na początku wieku XIV, jednej z najdzikszych epok Średniowiecza. Nie znał języka greckiego, a może nawet łaciny. Był biedny i samotny. Mimo to jednak, wśród ciemnego lasu Brabancji duszę jego prostaczą, cichą i nie zdającą sobie z niczego sprawy, prześwietlały błyski myśli, płynące od najniedościglejszych wyżyn poznania. Bierze bezwiednie udział w platonizmie Grecji, sufizmie Persji, bramanizmie Indji, budyzmie Tybetu, przedziwna niewiedza jego ujmuje mądrość epok minionych i przewiduje wiedzę wieków, które się jeszcze nie narodziły.

Możnaby cytować całe ustępy z Platona, Plotyna, Porfirjusza, z ksiąg Zend, Gnostyków, czy Kabały na dowód, że ich treść istotna, boska niemal, mieści się w dziełach skromnego mnicha flamandzkiego. Znajdujemy tu dziwne koincydencje i niepokojącą wprost tożsamość. Więcej jeszcze, zdaje się chwilami, że Ruysbroeck dostrzega wyraźnie poprzedników swoich, nieznanych zupełnie i podobnie jak Plotyn, podejmujący dalszą drogę od miejsca, gdzie przypadł do ziemi przerażony Plato, budzi do życia, po kilkowiekowym odpoczynku, nie ten rodzaj myśli, gdyż myśl taka nigdy nie zasypia, ale tensam rodzaj wysłowienia, który

zasnął na skale, kędy go zostawił Plotyn, olśniony wielką jakoby pozągą.

Różnią się jednak znacznie organizacją myśli. Plato i Plotyn, to przedewszystkiem mistrze dialektyki i dochodzą do mistycyzmu drogą rozumowania. Metoda ich jest nawskroś dyskursywna, a boją się niejako swej duszy intuitywnej i kontemplatywnej. Rozum przygląda się własnemu odbiciu w zwierciadle dialektyki, starannie unikając wszelkich innych refleksów. Jest to jakby prąd wody słodkiej wśród morza, który wie, że zostanie pochłonięty. U Ruysbroecka napotykamy przeciwnie, nawyki myśli azjatyckiej, a dusza intuitywna włada ideją, oczyszczoną z wszelakiej skłonności do słów. Myśl poszła w niewolę marzenia. Czy to mniej pewna metoda, któż powiedzieć zdoła? W książce tej brak zupełny zwierciadła inteligencji, dostrzegamy natomiast inne, ciemniejsze i odbijające głębsze pokłady istoty naszej. Giną w niem wszelkie szczegóły, a słowa nie mogą się utrzymać na powierzchni. Rozum popękałby w kawałki, gdyby na chwilę bodaj przejrzał się, profanując je swem odbiciem. Dostrzegamy tam jednak czasem coś innego, to jest duszę, lub samego Boga, chwilami nawet razem. Nie sposób tego uchwycić wyraźnie, ale zjawy owe to władcy istotni życia największych nawet niedowiarków i zaślepieńców.

Błyskotanie tego zwierciadła nieustanne, mgliste, a niewyczerpane, jak skarb cudowny nie przypomina żadnej zjawy znanej, a jednak napelnia dziwną pewnością. Dlatego też straszne jest wprost to dzieło gorącej wiary. Zdolne jest wywołać w nas na moment każdą, najsubtelniejszą sensację psychiczną, metafizyczną, czy mistyczną, choćby były najskrajniej abstrakcyjne, głębokie i niespodziewane, stwierdzając ich identyczność człowieczą, jednocześnie zaś jesteśmy tu jak ślepy ojciec, który nie przypomina sobie twarzy dzieci swoich. Żadna z tych myśli nie jest zbratana z ziemią i nie jest jej córką. Zatracaemy odczucie Boga, a jednocześnie czujemy, że nie wkroczyliśmy w dziedzinę marzeń sennych. Należałoby rzec wraz z Novalisem, że dziś nie sposób już pojąć ducha bożego, a sens świata przepadł dla nas na zawsze! Ongiś było wszystko zjawą ducha, dziś widzimy jeno martwe refleksy, zgoła niezrozumiałe i żyjemy jeno owocami lepszych czasów.

Należy sobie rzec skromnie, że klucza do tej książki znaleźć nie sposób na zwyczajnej drodze ludzkiego rozsądku. Nie otwiera on bramy ziemskiej i trzeba nań zasłużyć, oddalając się jaknajbardziej od ziemi. Na tych samotnych rozstajach spotkać można jednego jeno przewodnika, zdolnego wskazać ścieżkę ku tajemniczym wyspom

ognia, do tej Islandji abstracji i miłości, to jest Plotyna, który starał się na podstawie inteligencji ludzkiej zbadać rządzące tu boskie prawa. Poznał oznaczone przez nas, nic nie mówiącem słowem ekstazy, będące zaczątkiem pełnego odkrycia istoty naszej, a pogrążony w tym niepokoju i ciemni, ni na chwilę nie zamknął oka, lecz badał, jak przystało psychologowi, najzawilsze przejawy duszy. Jest on najdalej wysuniętym przyłądkiem, z którego dostrzec można fale tego tajemniczego morza i zamykający je widnokrąg. Stara się on przedłużyć ścieżkę poznania normalnego, aż w samo serce owego chaosu i wracać doń trzeba ciągle, bowiem jest to jedyny mistyk-analityk.

Tym, którzyby chcieli podjąć taką przedziwną wycieczkę, przyda się ustęp, w którym usiłuje wyjaśnić organizację owej niebiańskiej introspekcji.

— W momentach intuicji intelektualnej — powiada on — rozum dostrzega przedmioty poznawalne zapomocą światła, którem je oblewa. Pierwszy, a widząc te przedmioty, dostrzega realnie światło poznawalne. Jednakowoż kierując uwagę na przedmioty oświetlane, nie ujmuje wyraźnie pierwiastka, który je oświetla. Jeśli przeciwnie, zapomina o przedmiotach, kierując uwagę na samą światłość, która je czyni widzialnymi, dostrzega wówczas samą światłość i zasadniczy pierwiastek

jej. Ale rozum nie dostrzega światłości poznawalnej poza samym sobą. Podobny jest oku, które nie patrząc na światło zewnętrzne i obce, uderzone zostaje światłością własną, promieniem wybłyskującym z niego samego i jawiącym się w ciemności. Taksamo bywa, kiedy oko zamknięte na przedmioty postronne czerpie światło z siebie, lub też, naciśnięte dłonią, widzi światłość, które w niem tkwi, Nie widząc wówczas niczego z zewnątrz, widzi, i to widzi więcej jeszcze, niż w innej chwili, gdyż widzi światło. Przedmioty dostrzegane przedtem były jasne, ale nie były światłem samem.

Inteligencja zamykając niejako oczy na przedmioty postronne, koncentrując się w sobie i nie widząc nic, nie dostrzega światłości kształtów zewnętrznych, ale światłość własną, wewnętrzną i niezmiernie czystą.

— Dusza — powiada dalej — szukająca Boga, musi wytworzyć sobie ideję o nim. Wiedząc dalej z jak nieskończoną istotą ma się połączyć i czując szczęśliwość tego związku winna zatonać w głębinie bóstwa, aż do tego stopnia, by miast kontemplowania siebie samej i świata poznawalnego, została przedmiotem kontemplacji i rozbłysła jaśnią koncepcji, mających na tym wyżu źródło swoje.

Tyle jeno może wyrazić chyba mądrość ludzka i tyle wyrazić zdolni byli władcy metafizyki tran-

scendentalnej. Innych objaśnień szukać trzeba w samych w sobie w tych głębinach, gdzie jest kraniec wszelkich objaśnień wyrażalnych słowami. Nietylko bowiem pod słońcem, ale i w nas zwłaszcza samych jest więcej rzeczy, niż ich zawiera wszelka filozofja. Nie będąc zmuszonymi do formułowania tajemnic, jakie w nas tkwią, stajemy się głębsi, niż wszystko co zostało napisane i więksi nad to co istnieje na świecie.

Tłumacząc tę książkę, ponieważ wierzę, że dzieła mistyków to najczystsze djamenty cudownego skarbcza ludzkości. Jest to może zbyt cenne, gdyż doświadczenie uczy, że obojętną jest rzeczą, czy wcielenie myśli odbywa się w jaśni, lub ciemności, a dość tego, by nastąpiło. Czynię to jednak, będąc przekonanym o pewnej wyższości prawd mistycznych nad zwyczajnymi. Nie starzeją się one, ni umierają.

Każda idea przychodzi na świat piękna, silna, młoda, okryta rosą poranną i zdolna do rzeczy nowych, nie wyrażonych dotąd jeszcze. Przebiegając szpitale ludzkiego ducha, spostrzeżemy jak umiera jedna po drugiej. Nie znajdziemy tu jednak nigdy myśli mistycznej. Myśli te posiadają odporność aniołów Swedenborga, które kroczą nieustannie ku wiosnie życia swego, tak że najstarsze wydają się najmłodszymi. Bez względu, czy po-

chodzą z Indji, Grecji, lub Północy, nie mają ojczyzny, ni rocznic nie obchodzą, a są niezmiennie i aktualne jednocześnie, jak sam Bóg.

Utwór każdy starzeje się tem szybciej, im jest mniej mistycznym i dlatego to książka Ruysbroeka nie ma żadnej daty. Wiem dobrze, że jest niezwykle czarna, sędzę atoli, że autor szczery i obdarzony dobrą wiarą, rozumie znaczenie wieczyste tego słowa, rozumie bowiem sam siebie powyż tego co pisze. Jenó ideje sztuczne trwają pośród ciemności rzeczywistych i doznają powodzenia w pewnych epokach literackich, w okresach złej wiary i drobiazgowości, kiedy myśl autora znajduje się daleko od tego co wyraża.

W pierwszym razie mamy rodzajny cień lasu, w drugim ciemń piwniczną, żywiącą pasożyty. Trzeba się liczyć z tym światem nieznanym, który objaśniać mają myśli poprzez podwójne, nędzne szybki z błon, to jest poprzez słowa nieudolne.

Jak już wspomniałem, słowa zostały stworzone na powszedni użytek życia, są przeto nieśmiałe, niespokojne i pełne zdziwienia, jak włóczęgi zgromadzone dokoła tronu, a dzieje się to zwłaszcza w chwili, gdy jakiś duch królewski wie dzie je w strony nieznanne.

Z drugiej strony, myśl nie jest nigdy jasnem odbiciem tego, z czego powstała, widzimy w niej

zawsze cień walki, jakby Jakóba z aniołem, a za-
paśnicy są nierówni postacią.

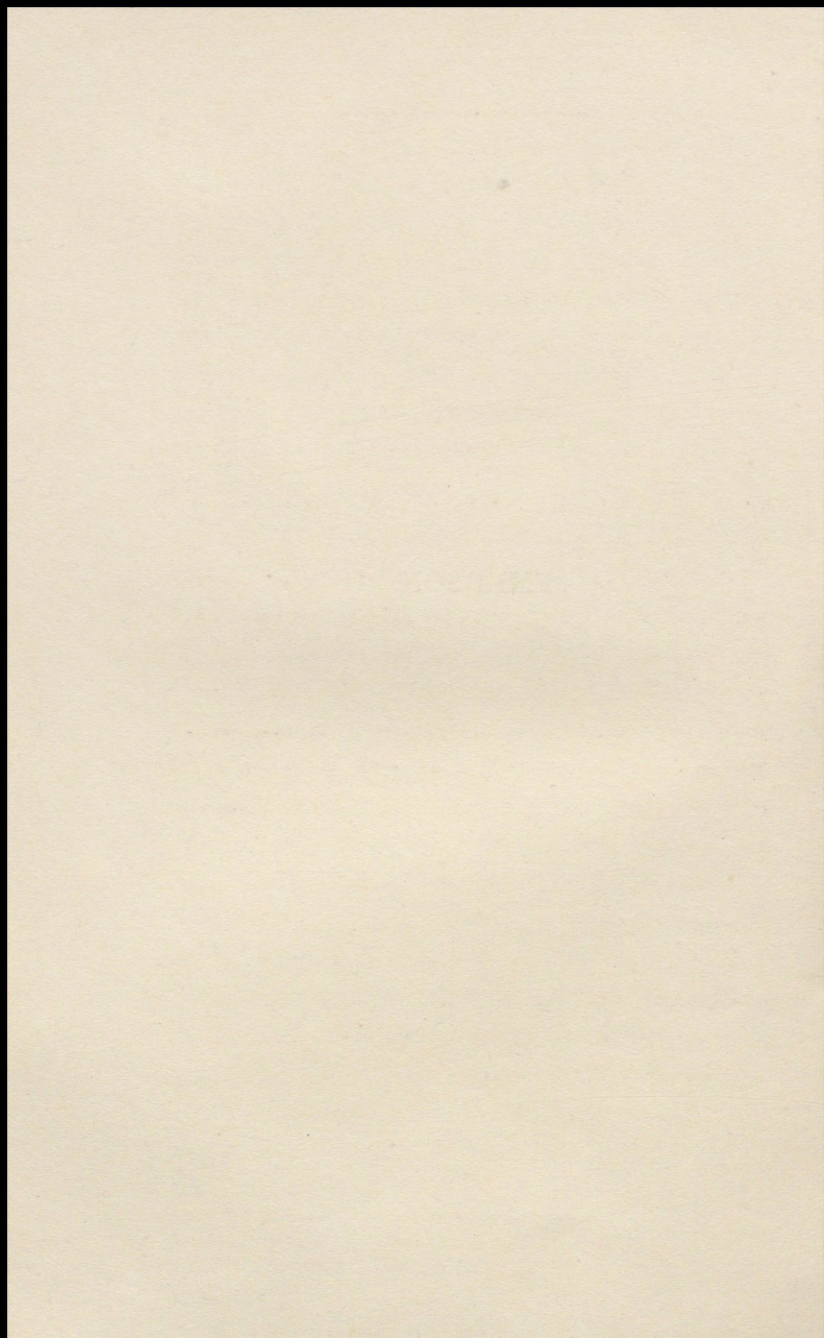
— Biada nam, — powiada Carlyle — jeśli nie
mamy w sobie tego co chcemy wyrazić i pokazać.

Wiem, iż na te kartki pada cień przedmiotów,
których nie pamiętamy. Mnich-autor nie tłumaczy
nam ich użytku, a poznamy je dopiero po drugiej
stronie życia. Tymczasem rzuciliśmy bodaj prze-
lotne spojrzenie zdala, a i to niemało. Zdania
Ruysbroecka pływają często, niby przejrzyste kry-
ształy lodu po bezbarwnem morzu milczenia. Ale
istnieją, zostały odłączone od wody i jest to już
rzecz wielka. Przedziwne rośliny, hodowane prze-
zeń na szczytach ducha, otaczają, coprawda, gęste
mgły, ale zasłaniają one jeno widok patrzącym
z dołu, jeśli wzniesiemy się atoli w górę, spostrze-
żemy, że stanowią one atmosferę swoistą tych roślin,
w której wyłącznie mogą istnieć, poza sferą wsze-
laczego bytowania. Jest to wegetacja tak sub-
telna, że zaledwo odróżnić ją można od milczenia,
które ją zrodziło i w które się rozprószyć gotowa.
Całe dzieło, to jakby soczewka powiększająca
ciemń i milczenie i często nie dostrzegamy zarysów
idei, wylaniających się z nicości. To co niewidzialne
przebłyska chwilami, a trudno śledzić owe zawroty.
Książka ta nie jest nam daleka, tkwi w społeczeń-
stwie, my jeno znajdujemy się daleko niej, a jeśli

nas zniechęca, jak pustynia, jeśli nas przestrasza jej miłość niebiańska i brak wody na szczytach niesiężnych, nie jest to winą jej wieku podeszłego, ale naszej własnej starości, smutku i braku odwagi. Przypominamy starców u kolebki dziecka. Mistyk pogański Plotyn ma, zda się, słuszność, mówiąc o tych, którzy nie dostrzegają niczego na wyżynach introspekcji:

— Trzeba naprzód upodobnić zmysł wzroku do przedmiotu, który ma dostrzec. Oko nie widziałoby słońca, gdyby nie nabrało jego kształtu, podobnie też dusza dostrzeże wówczas jeno piękno, gdy sama stanie się piękną. Chcąc pojąć co piękno i boskość, musimy dążyć do piękna i boskości.

EMERSON.



VII.
EMERSON.

Jedno jest ważnem tylko — powiada Novalis — a mianowicie poszukiwanie naszej transcendentalnej osobowości.

Odnajdujemy ją czasem w słowie bożem, w słowach poetów i mędrców, w jakiejś radości, czy smutku, we śnie, miłości, chorobie, w niespodzianych okolicznościach, a czasem też daje nam zdala znaki, ukazując swój związek z wszechświatem. Niektórzy mędracy zajmują się wyłącznie tem poszukiwaniem i w dziełach ich odkrywamy rzeczy niezwykle.

— W książce, posiada wartość to jeno, co jest transcendentalne i niezwykle! — powiada Emerson.

Starał on się, jak to czynią malarze, uchwycić podobieństwo wśród ciemności. Jedni kreślą zarysy wielkie, abstrakcyjne, niemal nieuchwytne, inni chcą utrwalić jeden bodaj gest życia wyższego. Inni jeszcze wymyślają dziwne postacie. Dużo

mamy takich obrazów, a żaden nie jest podobny do drugiego. Niektóre bardzo bywają piękne i kto ich nie widział, jest jak ślepiec, nie oglądający słońca. Widnieją na nich linje czystsze od zarysów nieba, a postacie wydają nam się dalekie, jakby nie żywe realnie, ale skopjowane z dusz naszych. Są to dzieła mistyków i człowiek nie poznaje w nich siebie.

Poeeci mówią nam pośrednio o tych sprawach.

Odmienni od powyższych, myśliciele wznosząc się ponad myt Centaura dają nam dostępniejszy obraz tej identyczności tajemnej, łącząc zarysy naszej osobowości pozornej z osobowością wyższego typu. Nasza dusza boska uśmiecha się chwilami z poza ramion siostry swej, duszy ludzkiej, pochylonej nad myślą, a uśmiech ten ukazujący nam czasem to co jest poza myślą, stanowi jedyną wartość dzieł ludzkich.

Nieliczni są ci, którzy nam ukazują wyzszłość człowieka i większą jego głębię nad to, co widzimy zazwyczaj. Ludziom tym powiodło się utrwalić kilka bodaj rysów wiekuistości, jakie napotykamy co chwila w życiu, a to w geście, spojrzeniu, słowie, milczeniu i wydarzeniach potocznych. Nauka, dotycząca dostojeństwa człowieczego, to najdziwniejsza z nauk, wszyscy ją posiadamy, nie wiedząc o tem najczęściej wcale. Spotykam dziecko, a nie

będzie ono zdolne powiedzieć matce swej co widziało. Tymczasem, od pierwszego zaraz spojrzenia poznało czem jestem, byłem i będę, równie dobrze jak brat mój, a trzy razy lepiej, niż ja sam. Zna mnie ono bezpośrednio w przeszłości i przyszłości, w tym świecie i w innych, zaś oczy jego uświadamiają mi znowu rolę, jaką gram w wszechświecie i wieczności. Dusze wydały o sobie sąd nieomylny. Dziecko spojrzało na mnie, dostrzegło moją twarz, ruchy, całą nieskończoność, jaka mnie otacza i którą wyrażam i wie już co o mnie sądzić. Choćby nie umiało odróżnić korony cesarskiej od sakwy żebraka, poznało mnie w tej chwili równie dobrze jak Boga.

Zachowujemy się jak bogowie, a całe życie nasze upływa wśród pewników i wiekuistej nieomylności. Jesteśmy atoli ślepcami, którzy igrają nad rowem przydrożnym z klejnotami, a człowiek pukający do drzwi moich wydatkuje w chwili pozdrowienia tę samą ilość precudnych klejnotów ducha, co książę ocalający mi życie. Otwieram mu, on zaś spostrzega u stóp swoich, niby patrząc z wysokiej wieży, wszystko co zaszło pomiędzy dwoma duszami. Pytając wieśniaczkę o drogę, osądzam ją równie głęboko, jak gdybym ją błagał o życie matki, a dusza jej przemawia do mnie równie poufnie jak dusza narzeczonej. Sięgnęła szybko wstecz, aż do

najgłębszych tajemnic, potem zaś powiedziała spokojnie, wiedząc już kim jestem, że trzeba skrócić w lewo, ku wiosce.

Spędziwszy godzinę wśród tłumu, nie mówiąc nic i nie myśląc o tem ni chwili, odbyłem sąd nad mnóstwem żywych i umarłych, a wyrok ten, zmianie chyba nie ulegnie w dniu ostatecznym.

Pięć, czy sześć osób rozmawia w pokoju o deszczu i pogodzie, ale obok tej marnej konwersacji sześć dusz objawia sobie rzeczy, do których nie mogłaby się zbliżyć bezkarnie żadna mądrość ludzka. Zamieniają słowa, spojrzenia, ściskają sobie dłonie, a mimo obecności wszystkich nie wiedzą wcale co sobie powiedzieli. Czekają wspólnie na zakończenie tego nieuchwytnego porozumienia, doznając wśród nudy jakiejś tajemnej radości, a nie rozumieją zgoła praw życia, śmierci i miłości, płynących niepowstrzymanym nurtem wokoło domu.

Tak się dzieje wszędzie i zawsze. Żyjemy, posłuszni naszej istocie transcendentalnej, której czyny i myśli przenikają co chwila osłaniającą nas oponę. Ujrzę dziś przyjaciela niewidzianego dotąd, ale znam dzieło jego życia i wiem, że ma duszę niezwykłą, która nieustannie pełni, tak dokładnie jak jeno może, wyższe obowiązki intelektualne. Ta uroczysta chwila napędza mnie niepokojem. Wchodzi i oto rozpadają się w proch

wszystkie objaśnienia, jakie dawał przez ciąg lat długich. Nie jest tym, za którego się uważał, naturę ma odmienną od myśli swoich. Stwierdzić tu można raz jeszcze, jak niewiernymi są wysłańcy ducha. Głosił rzeczy głębokie o duszy swojej, ja zaś za pierwszym zaraz spojrzeniem spostrzegłem wszystko, czego wypowiedzieć, ni przeżyć nie zdoła. Jest odtąd nieodmiennie moim. Dawniej łączyła nas myśl, dziś oddało nas sobie wzajemnie coś nierównie bardziej tajemniczego, niżeli myśl. Czekałismy całe lata na tę chwilę, teraz zaś czujemy, iż było to całkiem zbyteczne i bojąc się milczenia, które miało nam ukazać wzajem skarby cudowne i nieprzebrane, rozmawiamy o sprawach bieżących, czy zachodzie słońca, zaś dusze nasze podziwiają się i obejmują w innem zgoła milczeniu, którego zmącić nie może szept warg, czy myśli.

W istocie żyjemy jeno porozumieniem dusz i jesteśmy bogami, którzy się nie znają wzajem. Nadchodzi wieczór, kiedy znieść nie mogę samotności, idę przeto pomiędzy ludzi i dowiaduję się, że burza zerwała z drzew gruszki, albo że zamarzł port. Czyż poto przybyłem? A jednak, odchodząc, czuję się tak zadowolonym, pełnym siły i nowych skarbów, jakbym spędził te godziny w towarzystwie Platona, Sokratesa, czy Marka Aureliusza. To co mówiły ich usta, znikło wśród samej ich

obecności i przekonałem się, że człowiek może być wielkim i godnym podziwu. To co daje myśl, jest bez znaczenia w porównaniu z pewnikiem, że istniejemy, ustalonym przez milczenie. Gdyby po pięćdziesięciu latach samotności przybył na wyspę moją Epiktet, Goethe, lub św. Paweł, żaden z nich nie mógłby mi powiedzieć tego, co dostrzegłbym bezpośrednio dużo, spojrzawszy na kępkę mchu pokrywającego ich okręt.

Najprzedziwniejszą, zaprawdę, w człowieku jest jego powaga i mądrość ukryta. Najswawolniejszy z nas nie śmieje się nigdy naprawdę i mimo usiłowań, nie może stracić minuty, bowiem dusza ludzka jest baczna i nie czyni nic bezużytecznego. „Ernst ist das Leben,“ życie jest poważne, a dusza nasza nie uśmiechnęła się w istocie nigdy jeszcze. Po tamtej stronie, pełnimy czyny bezwolne, wiemy żywot przedziwny, niezmienny, bardzo czysty i pewny, o czym przypominają nam wyciągające się do uścisku ręce, i spojrzenia, które zamieniamy ze sobą.

Wszystkie organa nasze są mistycznymi współnikami istoty wyższej i poznając człowieka, poznajemy duszę wyłącznie. Nie widzę żebraka, proszącego jałmużny, ale spojrzawszy nań, dostrzegam w jego oku dwa nasze identyczne przeznaczenia, które się pozdrawiają i obejmują miłość. W chwili,

gdy wyciągał dłoń, furtka jakaś rozwarła się na moment, ukazując morze.

— W obcowaniu z dzieckiem mojem — powiada Emerson — nie przydaje mi się na nic greka, łacina, wiedza moja, ni majątek. Jenó treść duszy mojej ma tu znaczenie. Przecistawiając wolę moją jego woli, doznaję jenó wstydu nadużycia przewagi i siły, jeśli je uderzę. Natomiast rezygnując i stawiając duszę swą pośród nas jako sędziego, dostrzegam tę samą duszę w jego oczach i czcimy wówczas, oraz kochamy to samo.

O ile jest pewnem, że ostatni nawet z pośród nas nie może uczynić gestu, nie licząc się z duszą i królestwem, w którym panuje, o tyle również przyznać musimy, że najmędrsi nie myślą prawie nigdy o nieskończoności, na którą oddziaływa rozwierająca się powieka, pochylona głowa, czy dłoń w pięść ściskana. Żyjemy tak daleko od siebie, że nie wiemy co się dzieje na widnokręgu istoty naszej. Błędzimy po równi, nie zdając sobie sprawy, iż każdy nasz gest utrwalonym jest i nabiera znaczenia na szczycie góry. Ktoś nam musi dopiero powiedzieć:

— Podnieście oczy, poznaj czym jesteś i co czynisz! Wszakże nie tutaj żyjemy, lecz bytujemy tam, wysoko! Spojrzenia zamienione w ciemku, słowa nie mające znaczenia u stóp góry, stają się

dopiero czemś tam, powyż śnieżystych szczytów, a ręce nasze, z pozoru tak słabe, nie wiedząc o tem, dosięgają co chwila Boga.

Nieraz ludzie tacy dotykali ramion naszych i wskazywali to co się dzieje na lodowcach tajemnicy. Nie wielu ich, bowiem tylko trzech wywydaje wiek jeden, czasem pięciu, lub sześciu, a wszystko co nam mówią, to nic jeszcze, w porównaniu z tem co się dzieje i co przeczuwa dusza nasza. Ach! Podobni jesteśmy człowiekowi, który utracił wzrok w młodych latach. Widział życie, słońce, morze i las i wszystko to zostało w nim na zawsze. Cóż mu powiedzieć zdołamy, czemu będą nasze marne słowa w porównaniu do widoków, burzy i zorzy, żyjących w umyśle jego i ciele? A mimoto słuchał będzie, pełen żarliwej radości i podziwu. Zna to wszystko, słowa nasze przedstawiają mu zjawy świata mniej jeszcze dokładnie, niż szklanka wody potężną rzekę, ale te niedołężne zdania, padające z ust człowieka rozświecą na moment ocean, i przepoją jaśnią ciemne listowie śniące w ciemni, pod zamarłemi powiekami jego.

Niezliczone są zapewne oblicza owego „ja transcendentalnego,“ o którym mówi Novalis i żaden z moralistów mistycznych nie oglądał nigdy tego samego. Swedenborg, Paskal, Novalis, Hello

i inni badają nasz stosunek do abstrakcyjnej nieskończoności, subtelny i daleki bardzo. Wiodą nas na szczyty zbyt górne i niemożliwe do zamieszkania, gdzie oddychamy z trudnością. Goethe prowadzi nas nad Morze Pogody, Marek Aureljusz sadza na stoku wzgórza ludzkości i dobroci, pod przyciężkiem nieco listowiem beznadziejnej rezygnacji. Carlyle, duchowy brat Emersona, dający nam w tym wieku znaki z przeciwległego krańca doliny, rozsnuwa bohaterskie błyskawice naszej istoty, rzucając je na tło cieniów i purpury, czegoś, co nieznane i straszne. Wiedzie nas, niby spłoszone burzą stado owiec ku pastwiskom nieznanym i wydającym woń siarki. Pędzi nas w samą głęb ciemności, których odkrycie sprawiło mu radość, rozświetlonych migotliwymi błyskami gwiazdy bohaterstwa i roześmiałwszy się złośliwie, wydaje nas tam, opuszczonych na pastwę tajemnic.

Jednocześnie atoli jawi się Emerson, dobry pasterz, przybywając o poranku, wiodąc na blade łąki nowego, zielonego, naturalnego i wiarygodnego optymizmu. Nie kroczy ponad przepaściami, nie zmusza do porzucenia zagród rodzimych, ale pod jednym niebem, oczyszczonem tą samą nieskończoną potęgą mieści lodowce, morze, wieczyste śniegi, pałac, stajnię, wygasłe ognisko biedaka i łożo chorego.

Przybył w chwili, kiedy był potrzebny wielu ludziom, pożądanym rozpacznie nowych wyjaśnień. Momenty heroiczne nadchodzą rzadko, na chwile abnegacji czekamy jeszcze, wiemy, że żyjemy powszedni, nie możemy jednak żyć bez poczucia wzniosłości. Nadał on sens wiarygodny temu właśnie życiu, które zatraciło już widnokrąg tradycji i przekonał nas, że jest ono dość dziwne, głębokie i wzniosłe, by stanowić mogło cel samo w sobie. Wie tyle jeno co inni, ale twierdzenie jego jest dobitniejsze i silniej wierzy w tajemnicę. Musicie żyć wy wszyscy, którzy pędzicie lata w bezczynnie, bez myśli i światła, bowiem, mimo wszystko życie to jest niepojęte wprost i boskie. Trzeba żyć, gdyż nikt nie ma prawa unikać przeżyć duchowych tygodni powszednich. Trzeba żyć, gdyż co godzinę dzieją się cuda wewnętrzne, o znaczeniu wprost niewysłowionem. Trzeba żyć, gdyż każdy czyn, każde słowo wymaga zadośćuczynienia przedziwnego w świecie, „gdzie jest dużo do czynienia, a niewiele do poznania.“

Życie nie jest małe, ni wielkie, a czyny Regulusa i Leonidasa mało znaczą w porównaniu do jednej tajemnej chwili życia duszy mojej. Czy dokona tego samego, czy nie, rzecz to obojętna, a dusza wracającego do Kartaginy Regulusa była prawdopodobnie równie roztargniona i obojętna,

jak dusza idącego do fabryki robotnika. Jest zbyt daleko od naszych poczynañ i myśli. Żyje samotna w nas i nie mówi nic o sobie, a z wyżyn, kędy króluje, nie widać różnic bytowań. Uginamy się pod brzemieniem duszy własnej i niema żadnego porównania między nią, a nami. Nie myśli zapewne nigdy o tem co czynimy i wyczytać nam to można nawet z twarzy. Jakaś istota inteligentna, z innego świata, zapytana o wyraz syntetyczny twarzy ludzkiej, po zbadaniu człowieka w bólu, radości i niepokoju, odpowiedziałaby niewątpliwie: — Ludzie wyglądają, jakby myśleli o czemś innem! — Bądźmyż wzniośli, mądrzy i wymowni. Dusza biedaka, który wyciąga do ciebie rękę pod mostem, nie czuje zazdrości, twoja atoli może jej pozazdrościć milczenia. Bohater potrzebuje aprobaty człowieka zwyczajnego, ale człowiek powszedni nie dba o pochwałę bohatera i kroczy pewnie, jak ten, który dobrze zabezpieczył skarby swoje.

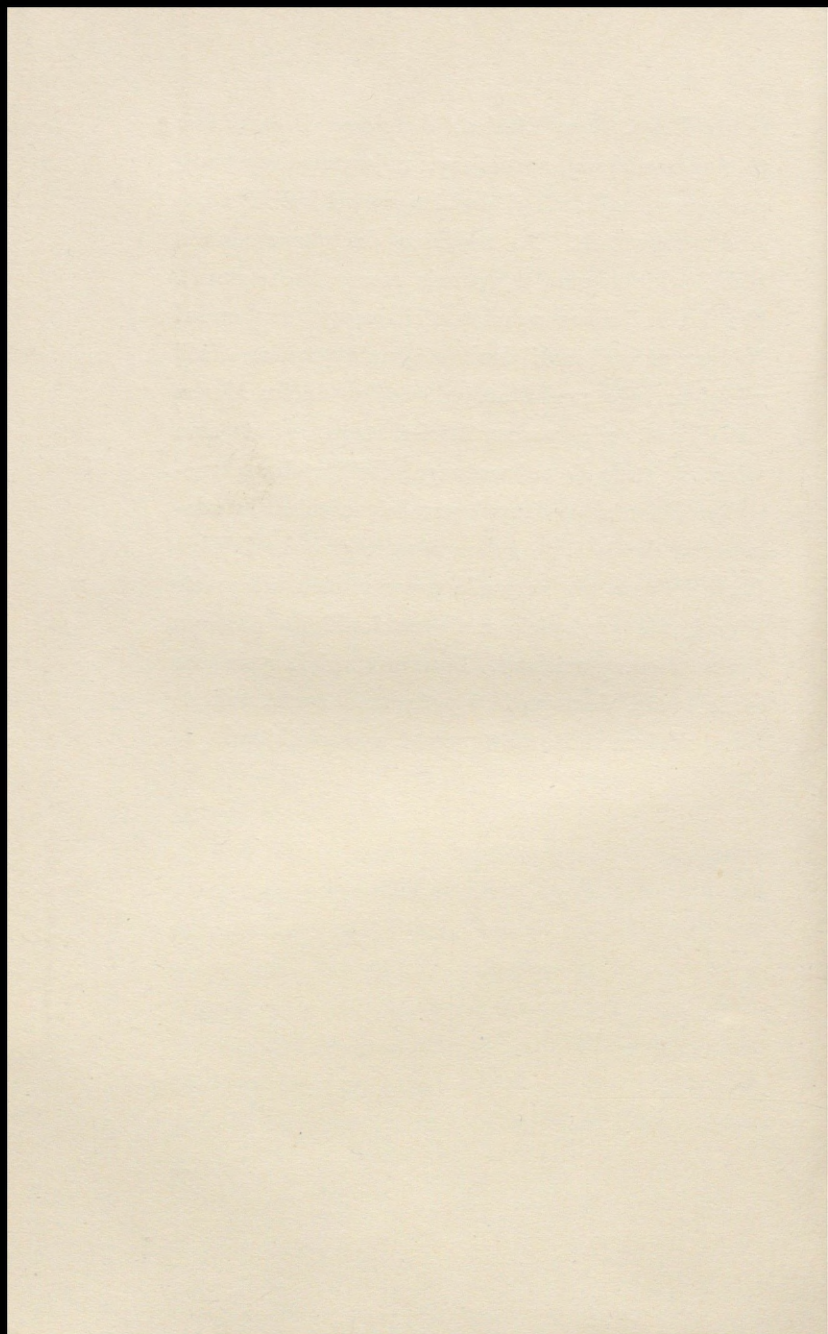
— Kiedy mówi Sokrates — pisze Emerson — Lyzis i Meneksenes nie wstydzą się milczenia swego. I oni także są dostojni, a Sokrates, mówiąc, zwraca się do nich i miłuje ich, albowiem każdy człowiek mieści w sobie ową prawdę, którą wyraża mąż wymowny i jest nią samą. Natomiast ów mąż, zdolny wysłowić prawdę, posiada ją już niejako w stopniu mniejszym i dlatego zwraca się do tych

milczących ludzi z szacunkiem i tem większem uznaniem.

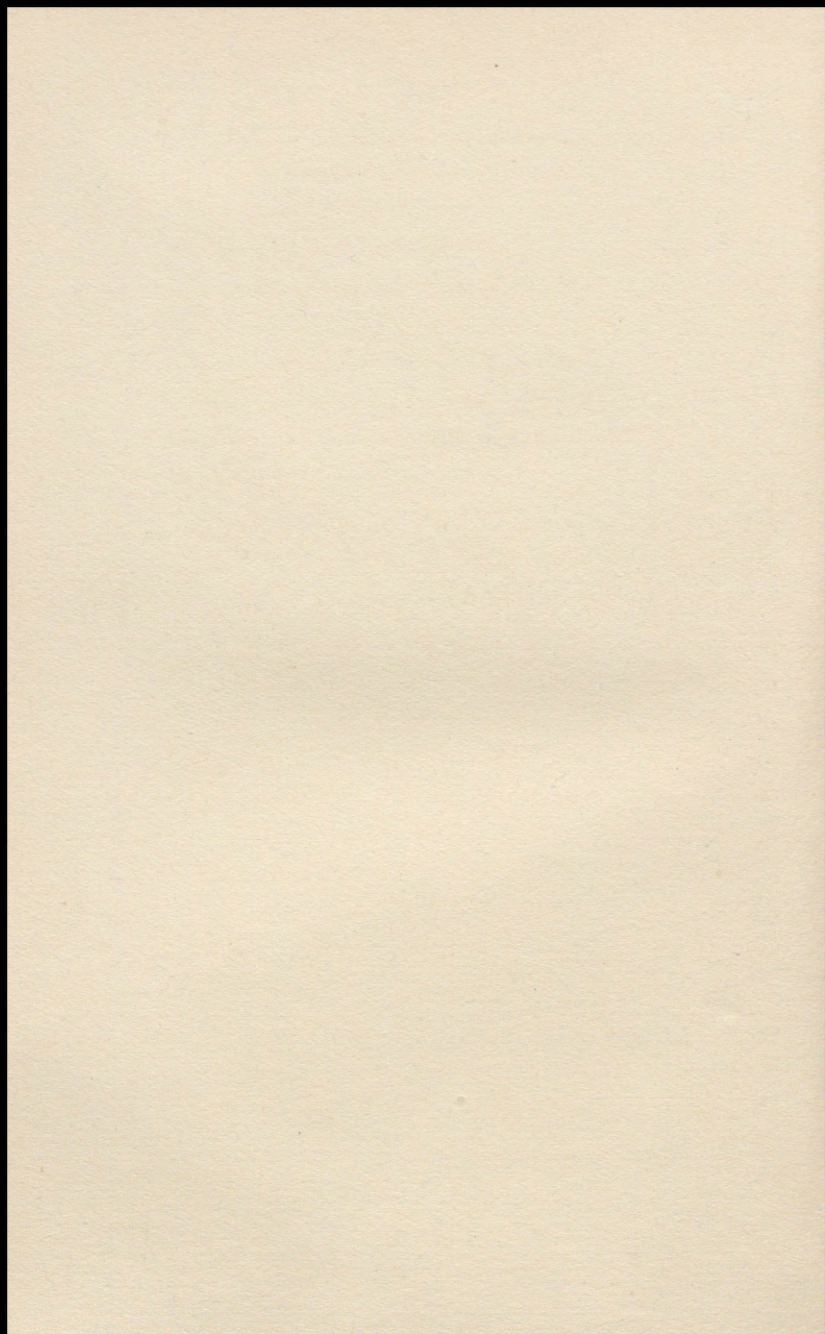
Człowiek pożąda wyjaśnień i chce by mu wytłumaczono, czym jest życie. Raduje się, znajdując gdzieś ściśle objaśnienia drobnego bodaj gestu, który uczynił przed dwudziestu pięciu laty. Niema bowiem drobnych gestów, ale wszystko jest przejawem codziennym naszej duszy. Brak tu wieczystej cechy myśli Marka Aureljusza, który sam jest myślą. Ale któż z nas żyje tak jak on? Idzie o człowieka, nie powiększonego przez wysilek woli, ale za to bliższego nam. Jan obcina drzewa w sadzie, Piotr buduje dom, ty mi mówisz o żniwach, ja ci podaję rękę, stykamy się ze sobą i z bogami jednocześnie i dziwi nas to co czynimy. Nie wiedzieliśmy, że obecne były wszystkie potęgi duszy, że otaczały nas wszystkie prawa wszechświata, to też spoglądamy na siebie w milczeniu, jak ludzie, którzy ujrzeli cud.

Emerson stwierdził z wielką prostotą tę ogólną i tajemną wzniosłość naszego życia. Otoczył nas milczeniem i podziwem. Rzucił snop światła pod stopy rękodzielnika, wychodzącego z pracowni. Ukazał nam wszystkie potęgi nieba i ziemi, podtrzymujące próg domu, na którym dwaj sąsiedzi rozmawiają o deszczu i wietrze, a powyż spotykających się przechodniów ujrzeliśmy dzięki niemu

twarz Boga, śląc uśmiech drugiemu Bogu. Jest to nauczyciel najbaczniejszy, najwytrwalszy, najuczciwszy, najbardziej drobiazgowy i ludzki z pośród wszystkich. To mędrzec dni powszednich, a dni takie tworzą w gruncie rzeczy istotę naszą. Ileż lat mija bez namiętności, cnoty, czy cudu! Nauczmyż się czcić drobne godziny życia. Jeśli zdołałem tego ranka uczynić coś w duchu Marka Aureljusza, nie podkreślajcież tego, gdyż sam wiem, że stało się coś ważnego. Jeśli atoli zmarnowałem dzień na nędznych przedsięwzięciach, a zdołacie mi dowieść, że żyłem równie głęboko jak bohater i dusza nie zatraciła praw swoich, uczynicie więcej, niż gdybyście mnie nakłonili do ocalenia życia nieprzyjacielowi, bowiem zwiększycie we mnie sumę, dostojność i pożądanie życia, tak że jutro zdołam może postępować z szacunkiem.



NOVALIS.



VIII.
NOVALIS.*)

Ludzie — powiada Novalis — kroczą różnemi drogami, a kto je śledzi i porównuje, dziwne ujrzy rzeczy.

Ja wybrałem trzech wędrowników, zmierzających ku trzem różnym szczytom. Dostrzegłem na widnokręgu migotliwych utworów Ruysbroeka sine szczyty duszy, podczas gdy w dziełach Emersona kreśliły się skromniejszą nieregularną linią wierzchowiny ludzkiego serca. U Novalisa stąpamy po stromych i niebezpiecznych często granicach rozumu, ale natrafiamy też na zacisza rozkosznego cienia, pomiędzy dwu wiszarami i niezmaconą, krystaliczną atmosferę.

Przedziwna to rzecz śledzić tak różne drogi duszy ku niesiężnym wyżom. Idźmyż, przez chwilę bodaj, za śladami tych trzech duchów. Wyruszyły one, każdy ze swej strony, poza powszedni krąg

*) Urywek z przedmowy do przekładu „Uczniów z Sals.”

zwykłej świadomości, znachodząc prawdy zgoła niepodobne do siebie, które uznać musimy jednak za cudowne, spotykające się siostry. Każda taka ukryta prawda napęłnia nas nowem życiem, a dopóki się nie zjawi jesteśmy niewolnikami bez świadomości i głosu, okutymi w kajdany. Gdy atoli jedna z tych istot niezwykłych, będących niezliczonemi antenami duszy, tworzącemi jedność, zjawi się naszej, idącej omackiem świadomości, odczuwamy tajemną ulgę, a nowa prawda zajmuje miejsce odkrytej już, która ucieka na zawsze. Chociaż nic nie zdradza na zewnątrz tej epoki czystszej i świetniejszej, my zaś mamy w tem udział spóźniony znacznie i daleki, uświadamiamy sobie, że w ten to właśnie sposób iść się cel, znany sobie samemu jeno.

Słowa nic nie znaczą same przez się. Połóżmy na wagę wszystkie nauki wielkich mędrców, a po drugiej stronie nieświadomą mądrość napotkanego przypadkiem dziecka, a ujrzymy, że to wszystko co nam dał Plato, Marek Aureljusz, Schopenhauer i Paskal nie podniesie o włos wielkich skarbów nieświadomości, bowiem dziecko, co milczy, jest tysiąc razy mędrsze od mówiącego Marka Aureljusza.

Mimoto jednak, gdyby Marek Aureljusz nie napisał swych dwunastu medytacji, inną by była część niezbadanych skarbów tkwiących w dziecku.

Trudno zaiste mówić jasno o tych rzeczach, ci jednak, którzy zadają sobie głębokie pytania i umieją na mgnienie oka bodaj żyć pełną istotą swoją, wiedzą że tak jest. Być może iż nie byłaby taką, jak obecnie dusza wieśniaka, gdyby nie istnieli nigdy Plato, Swedenborg, czy Plotyn, chociaż nie czytał ich dzieł i nie słyszał o nich wcale. Mimo wszystko, żadna myśl nie przepadła dla żadnej duszy, a my sami żyjemy w znacznej części dzięki myślom, nie wyrażonym nigdy jeszcze. Istnieje dużo stopni świadomości, a mędrców interesuje jeno podświadomość nasza, gdyż zbliża się do boskości. Wzmożenie tej świadomości transcendentalnej było zawsze tajemnem, a najwyższem pragnieniem ludzi. Mniejsza, że nie wiedzą wszystkiego niemal, postępują atoli w duszach swoich, jak najwięksi z mędrców. Prawdą jest, że większość ludzi zasługuje na to być żyć w samej jeno chwili śmierci. Świadomość ta wzrasta, zwiększając jednocześnie zakres tego co niewytłumaczalne wokół nas. Staramy się poznawać, by nawyknąć do niepoznawania. Dorastając, zwiększamy dręczące nas tajemnice i podobni jesteśmy do niewolników, którzy podtrzymują swą żądzę życia za cenę zwiększania wagi łańcuchów swoich.

Dzieje tych przedziwnych łańcuchów, to cała nasza historia, jesteśmy bowiem tajemnicą, a to

co wiemy, nie budzi zgoła zaciekawienia. Nie jest ona długa, mieści się na kilku stronicach, a naj-
lepsi z pośród nas boją się jej potrosze. Jakże nie
wielu miało odwagę dotrzeć do krańców myśli
ludzkiej, a nikt nie zna chyba imienia tych, którzy
tam wytrzymali przez kilka godzin. Nie jeden obie-
cywał nam to, a kilku podjęło nawet wysiłek, ale
straciwszy rychło siły, jakich trzeba by tu wyżyć,
staczali się na stronę życia zewnętrznego, schodzili
na utorowane ścieżki rozumu i znowu „wszystko
mgliło się przed oczyma.“

Trudna to, zaprawdę, rzecz posłyszeć słaby,
dziecięcy głosik duszy, wśród bezpotrzebnych krzy-
ków świata. A jednak wobec tego niczem są inne
usiłowania umysłu i myśląc o tem, spostrzegamy,
że życie powszednie toczy się zdala od nas. Rzec
można, iż tutaj pędzą puste, jałowe i pełne roztar-
gnięcia chwile istoty, podobne zaledwo do nas, tam
zaś, u źródeł jestemy sobą dopiero. Trzeba się
chronić ciągle na ten wyż. Wiemy to dobrze
wszystko, zanim nam powiedziano, tam zaś uczymy
się czegoś, co wysłowione być nie może. I właśnie
w chwili, kiedy urywamy w pół zdania, a słowa
uciekają, chwytamy nagle, poprzez lata i wieki
drugie spojrzenie, które nas tu czekało cierpliwie
na drodze bożej. Mrużą się jednocześnie powieki,
oczy zachodzą łzami pod wrażeniem tej samej ta-

jemnicy i wiemy już, że nie jesteśmy sami na nieskończonej drodze.

Jakież atoli książki mówią o tym punkcie życia? Metafizycy docierają zaledwo do granic, a cóż zostaje z prawdy poza nimi? Mistyków uważamy za szaleńców, mimo że wyjaśniliby nam prawdopodobnie samą naturę myśli ludzkiej, gdyby mieli czas, czy odwagę stać się prawdziwymi ludźmi. Lubimy ponad wszystko mistrzów rozumu zwyczajnego, Kanta, Spinozę, Schopenhauera i innych, nie jest to jednak jeszcze powodem odrzucania mistrzów rozumu odmiennego, bratniego, który będzie może rozumem przyszłości. I dziś daje nam rzeczy niezbędne. W najgłębszem nawet z dzieł moralisty, czy psychologa zwykłego, znajdziemy dużo wywodów na temat miłości, nienawiści, pychy i innych namiętności serca, a wszystko to podoba nam się przez chwilę, jak kwiat zerwany. Ale nasze życie prawdziwe i niezmiennie toczy się o tysiąc mil od miłości, a o sto mil od pychy. Posiadamy *ja*, nierównie głębsze i bardziej niewyczerpane niż *ja* namiętności, czy rozumu czystego. Nie dość powiedzieć co czujemy, tracąc kochankę. Odchodzi, oczy nasze płaczą, ale nie płacze dusza. Dowie się może o tym fakcie i przemieni go w światłość, jak wszystko co na nią pada. A może się też nie dowie wcale i w takim

razie nie warto o tem mówić. Zostawmyż te drobiazgi ludziom nie znającym głębi życia. Czytałem n. p. dziś rano La Rochefoucaulda, czy Stendala, ale czyż przeto stałem się wyższym człowiekiem? Czyż piękniejszym wydam się aniołom, do których podchodzi należy ciągle, dniem i nocą? To co nie przekracza mądrości doświadczalnej i codziennej nie jest naszym i poniża duszę. To, czego nauczyć się można bez strachu, pomniejsza nas. Uśmiechnę się smutnie jeśli mi ktoś dowiedzie, że byłem egoistą nawet poświęcając własne szczęście i życie, czemuż jest atoli egoizm w porównaniu z tylu innymi potężnymi rzeczami, które wiodą we mnie żywot niemożliwy do wysłowienia? Czystych praw istoty naszej nie odnajdujemy na progu namiętności. Nadchodzi chwila, kiedy zjawiska świadomości zwyczajnej (można je nazwać świadomością namiętności, lub świadomością pierwszego stopnia) są nam już niczem i nie dosięgają życia naszego. Przyznaję, że świadomość ta interesuje nas często i że trzeba ją poznać, jest to jednak roślina pływająca na powierzchni, a korzenie jej boją się wielkiego, wewnętrznego ognia istoty naszej. Można popełnić zbrodnię, nie wywołując drgnienia w najmniejszym płomyku tego ognia, natomiast jedno spojrzenie, jedna nie rozkwitła nawet myśl, czy minuta milczenia wzburza czasem wiry pło-

mieni aż do samego dna tak, że ogarniają całe życie. Dusza nie feruje wyroków podobnych naszemu, jest bowiem kapryśna i skryta. Ulega często technieniu, a nie zwraca uwagi na burzę. Trzeba odnaleźć to, co na nią oddziaływa, wszystko od tego zależy, gdyż tu właśnie jesteśmy my.

Wracając do świadomości zwyczajnej, istniejącej w wielkiej odległości od duszy naszej, powiedzieć można, że wielu ludzi nie dziwi już n. p. wcale tak przedziwnie odmalowana zazdrość Otella. Oddziaływa ona na pierwszy krąg świadomości i pozostaje niezrównaną, o ile pamiętać będziemy, że nie należy otwierać drzwi, ni okien, inaczej bowiem wszystko rozpadnie się w proch od powiewu rzeczy nieznanego, płynącego z zewnątrz. Słuchamy doskonałego dialogu murzyna i Desdemony, myśląc bezwiednie o rzeczach głębszych. Wojownik afrykański zdradzony przez piękną Wenecjanę, czy też nie zdradzony, posiada jeszcze inne życie. W duszy jego i dookoła jego istoty dzieją się, nawet w momentach najnędrniejszych podejrzeń i najbrutalniejszych wybuchów gniewu, rzeczy tysiąc razy subtelniejsze, których zmącić nie są w stanie najdziksze ryki, a poprzez powierzchowne odruchy zazdrości przeblýska życie niezmiennie, które genjusz człowieczy ukazał przelotnie jeno.

Może stąd właśnie pochodzi smutek, wyzieraający z arcydzieł sztuki? Poeci zdobyli się na nie za cenę zamknięcia oczu na widnokreśli przerażające i kosztem zmuszenia do milczenia głosu duszy. Nie czyniąc tak, straciliby odwagę.

Niema nic smutniejszego i bardziej zniechęcającego nad dzieło sztuki, ono bowiem ukazuje wyraźnie niemoc człowieka, gdy idzie o uświadomienie sobie własnej wzniosłości i dostojęstwa. Gdyby głos jakiś nie ostrzegał nas, że wszystkie rzeczy piękne są niczem w porównaniu z naszą istotą, każde dzieło sztuki pomniejszałoby nas, bardziej niż cokolwiek innego.

— Dusza — powiada Emerson — jest wyższą ponad wszystko cokolwiek wiedzieć o niej możemy i mędrszą od każdego naszego dzieła. Wielki poeta uświadamia nam wartość naszą, ale cenimy niżej to, co zdołał wyśłowić. Najlepszą rzeczą, jaką nam objawia, jest wzgarda dla wszystkiego, czego dokonał. Szekspir owiewa nas tak subtelną i żywą akcją, budzi wrażenie takiego bogactwa, że samo dzieło jego wydaje się ubogie. Spostrzegamy też, że utwory te wynoszone na szczyt poezji, nie tkwią głęboko w istocie rzeczy, ale są niby cień przechodnia, rzucony na skalę.

To co słyszymy w wielkich poematach i tragedjach, to wołanie mistyczne, nie mające współ-

noty z życiem zewnętrznym tych poematów. Dolatają chwilami z głębin istotnych, budząc nadzieję czegoś niezwykłego, na co czekamy cierpliwie, lecz daremnie, bo niebawem znane nam aż nadto namiętności nakrywają wszystko powłoką śniegu. Ludzkość znalazła się na moment wobec samej siebie, a człowiek ujrzał anioła. Koniecznym jest, by czyniła to jak najczęściej, chcąc wiedzieć czem jest. Gdyby istota jakaś z innych światów zstąpiła na ziemię i zażądała najpiękniejszego kwiatu duszy i dowodu ludzkiego dostojenstwa, cóżbyśmy jej dali? Jedni przynieśliby dzieła filozofów, nie wiedząc co czynią, inni ofiarowaliby Otella, Króla Leara i Hamleta. Ach nie, nie tem jesteśmy! Dusza zamarłaby ze wstydu w ciele, gdyż wie dobrze, że skarbów zewnętrznych nie wolno pokazywać obcym i że są to klejnoty fałszywe. Najskromniejszy właśnie człowiek czuje, w chwili samotności, że wyobrazicielem jego istotnym nie jest zgoła dzieło sztuki. Jesteśmy istoty niewidzialne. Niczego pokazać nie moglibyśmy obcemu przybyszowi, gdyż najpiękniejsze rzeczy nasze to jeno pamiątki rodzinne, cenne, dopóki leżą w szufladzie, a nędzne bardzo w chwili, gdy je ogląda ktoś obojętny. Jesteśmy istoty niewidzialne, żyjące w samych sobie, a gość zaziemski odszedłby, nie domyślając się nawet tego co mógł zobaczyć,

gdyby nie interwencja chwilowa duszy. Unika ona drobiazgów i tak ją trudno odnaleźć w życiu, że boimy się wzywać jej pomocy. A mimoto jest nieustannie obecna, nie myli się i nie zawodzi nigdy, gdy ją raz ujawnimy. Ukazałaby wyłańcowi zaświatów splecione ręce, oczy pełne snów bez nazwy i usta niezdolne wyrzec słowa. A gość nie śmiałby pytać, gdyby był godnym zrozumieć.

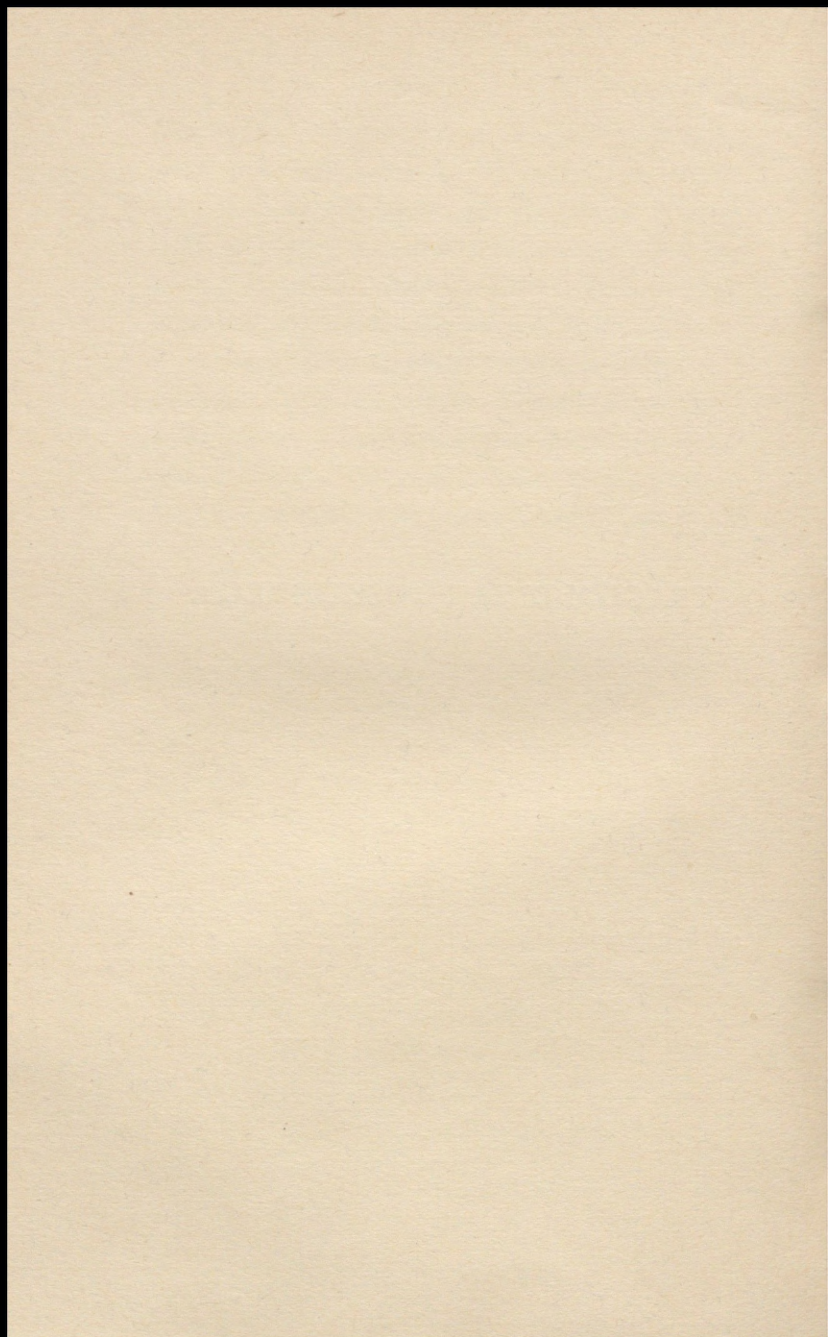
Dalsze dowody dałaby mu dusza, wiedząc do tych, których dzieła graniczą niemal z milczeniem. Rozwarłaby bramy domów, gdzie kochają ją samą, nie zważając na nikłe gesty ciała. Wstąpiliby na wyże samotne, gdzie panuje świadomość o stopień podnioslejsza i gdzie zaniepokojeni sobą krążą bacznie wokół potwornego sprzęgła, łączącego świat pozorów z wyższymi światami. Dotarliby tak do krańców człowieka, gdyż tam dopiero zaczyna się on naprawdę. To co w nim wieczyste i ważne, tkwi w niewidzialnem i tam winien poszukiwać siebie nieustannie. Na tych jeno szczytach żyją myśli godne duszy, idee podobne do niej i jak ona sama nieodporne. Tutaj panowała ludzkość przez chwilę, a owe słabo oświetlone szczyty, to jedyne może sygnały ziemi w przestworzach ducha. Odblask ich ma barwę duszy. Czujemy, że porywy rozumu i serca wydałyby się przybyszowi z zaświatów czemś, jak klótnie dzwonników. Nato-

miast ludzie, o których mówię w dziełach swych, wyszli z nędznej wioszczyzny namiętności i mówią o rzeczach mogących zaciekać tych, którzy nie pochodzą z ziemskiej parafji.

Ludzkość nie powinna kręcić się wyłącznie w własnej jamie, jak gromada kretów. Ważną jest rzeczą, by żyła tak, jakby miała kiedyś zdać sprawę z czynów swych starszym braciom. Duch ograniczony do samego siebie, to sława lokalna, wywołująca uśmiech wędrowca. Istnieje coś poza rozumem i nie on nas łączy z wszechświatem. Czas już wielki, by go nie mieszać z duszą. Nie idzie o to co się dzieje pośród nas, ale w nas samych, powyż namiętności i rozumu. Gdy pokażę gościowi obcemu La Rochefoucaulda, Lichtenberga, Meredith, czy Stendhala, spojrzy na mnie jak ja patrzę na mieszczaucha w zapadłym miasteczku, który mi rozpowiada beznadziejne bzdury o ulicach, małżeństwie swoim, lub przedsiębiorstwach. Któryż z aniołów pytałby Tytusa, czemu nie poślubił Bereniki i czemu Andromaka przyrzekła swą rękę Pyrrhusowi? Czemże jest Berenika w porównaniu z niewidzialną istotą żebraczki, która mnie zatrzymuje na drodze, lub kurtyzany, dającej mi znak? Jedno słowo mistyczne może w pewnym momencie wyobrazić całą ludzką istotę. Ale dusza nasza nie przebywa w tych sferach bez cienia

i przepaści. Człowiek nie tkwi w tych rzeczach, mimo że są one doskonałe. Mówmy o tem między sobą jedynie, a milczmy, gdy wieczorem gość zastuka do drzwi naszych. Jeśli atoli gość ten zaskoczy mnie na szukaniu klucza skarbów najbliższych w Paskalu, Emersonie, Hello, albo też w dziełach ludzi żądnych piękna czystego, nie zamknę ze wstydem książki. I on może zaczerpnie z niej wieści o istocie bratniej, skazanej na^u milczenie, lub dowie się przynajmniej, że nie wszyscy byliśmy zadowolonymi mieszkańcami ziemi.

TRAGIZM DNIA POWSZEDNIEGO.



IX.

TRAGIZM DNIA POWSZEDNIEGO.

Istnieje tragizm bardziej rzeczywisty, głębszy i zgodniejszy z naszą istotą prawdziwą, niż tragizm wielkich wydarzeń. Odczuć go łatwo, ale trudno przedstawić, bowiem nie jest on czysto materialny, czy psychiczny. Nie idzie tu o konkretną walkę człowieka z człowiekiem, pożądania z pożądaniem, czy wreszcie o wieczysty bój namiętności i obowiązku. Należałoby raczej pokazać dziwy samego faktu życia. Trzeba by przedstawić bytowanie duszy w samej sobie, pośród różnorodności zjawisk, nieustannie czynnych. Powinnoby się dać usłyszeć poza zwykłym dialogiem rozumu i uczucia, rozmowę uroczystą i nieustanną samej istoty ludzkiej z przeznaczeniem. Poprowadzić by wypadało śladem bolesnych i chwiejących kroków życia, które to zbliża się do prawdy, to oddala od niej, krążąc wokoło piękna swego i Boga. Ujrzeć i usłyszeć powinnoby się tysiąc rzeczy podo-

bnych, których mimochodem jeno dotknęli tragiczni poeci. Ale oto sprawa najważniejsza. Czyż nie możnaby pokazać nasamprzód, przed resztą, tego właśnie, co pominęli? W królu Learze, Makbecie, czy Hamlecie, n. p. słyszymy tajemniczą pieśń nieskończoności, groźne milczenie dusz, czy bogów, grzmot wieczności na widnokręgu, przeznaczenie, czy fatalizm, które ujmujemy wewnątrz, nie mogąc powiedzieć po jakich je poznajemy znakach. Czyż nie możnaby tego wszystkiego zbliżyć do nas zapomocą jakiejś przemiany ról i odsunięcia na bok aktorów? Żaliż przesadnem jest twierdzenie, że prawdziwy tragizm, normalny, głęboki i powszechny zaczyna się dopiero po przeminięciu tego wszystkiego co zwiemy przygodą, bolem, czy niebezpieczeństwem? Może szczęście ma dłuższe ramiona, niż niedola, a także zbliża się więcej do ludzkiej duszy? Czyż trzeba koniecznie ryczeć jak Atrydzi, by nam się Bóg objawił, i czyż nie siada nigdy obok nas o cichym wieczorze? Wszakże straszną jest cisza, kiedy dumamy przy migotaniu gwiazd, a sens życia ujmujemy równie dobrze w rozgwarze, jak i milczeniu.

— Byli szczęśliwi! — tak kończy się każda bajka, a w tej chwili nadejść może właśnie wielki niepokój. Cóż się dzieje w szczęściu? Szczęście, czy chwila odpoczynku objawia nam rzeczy waż-

niejsze i stalsze, niż ruchliwość i żądza. Wówczas to ruch czasu i inne jeszcze tajemniejsze ruchy stają się наконец widzialne, a godziny mijają szybko. Wszystko to sięga, zaprawdę, głębiej niż sztylet pospolitego dramatu. Kiedy człowiek czuje się bezpiecznym od śmierci, z zewnątrz, bramy jego teatru rozwiera przedziwny i cichy tragizm bytowania i nieskończoności. Czyż życie moje dosięga najciekawszego punktu w chwili, kiedy staram się uniknąć obnażonej szpady? Czyż najsubtelniejsze bywa w pocałunku? Zaprawdę są momenty, kiedy dolatają głosy trwalsze i czystsze! Wszakże dusza nie rozkwita jeno podczas burzy nocnej? Tak dotąd mniemano, zda się.

Pisarze tragedji biorą za temat wyłącznie niemal sprawy dawne, słusznem jest przeto twierdzenie, że cały teatr nasz jest anachronizmem, podobnie jak i rzeźba sięgająca w przeszłość. Nie czyni tego malarstwo i muzyka, a dwie te sztuki umieją nieraz wykryć i odtworzyć utajone, a niemniej ważne i zdumiewające cechy współczesne. Malarze i muzycy zauważyli, że życie nasze straciło wprowadzić na dekoratywności zewnętrznej, ale stało się nierównie głębsze i nabrało duchowej wagi. Dobry malarz nie odtworzy już dziś Marjusza, zwycięzcę Cymbrów, czy morderstwa księcia de Guise, a to dlatego, że akt zwycięstwa, czy mordu

jest psychologicznie elementarnym, a życiowo wyjątkowym, zaś bezpotrzebna wrzaskliwość czynu gwałtownego, głuszy dźwięki głębsze, a trwożne i dyskretnie. Wymaluje on zato domek wiejski, drzwi otwarte w kurytarzu, spokojną twarz i ręce, a te proste rzeczy dorzuca coś do naszej świadomości istotnej, tak że dorobek ten już nie zaginie.

Natomiast poeci dramatyczni i kiepscy malarze, przedstawiający różne zdarzenia, kładą nacisk na krzykliwą anegdotę, zabawiając nas tem co radowało barbarzyńców, nawykłych do zamachów, morderstw i zdrad wszelakich, gdy tymczasem życie nasze dalekie jest od krwi, wrzasków i szpad, a łzy ludzkie stały się ciche, niewidzialne i niemal duchowe.

Będąc w teatrze, czuję się jakby pośród przodków swoich, którzy ujmowali życie po prostaku, sucho i brutalnie, czego już nie rozumiem i w czym wziąć nie mogę udziału. Zdradzony mąż morduje żonę, jakaś kobieta truje kochanka, syn mści się za ojca, ojciec zabija dzieci, dzieci ojca, królowie padają, ktoś gwałci dziewczę, truje ludzi... słowem mam cały, tradycyjalny bigos, niestety tak powierzechowny i materjalny, jak realna krew, łzy i śmierć! Cóż mi powiedzieć mogą ludzie, opętani jedną jeno manją i którym brak czasu, by żyć, gdyż muszą zabić rywala, czy kochankę?

Przyszedłem w nadziei, że odnajdę nici łączące mnie z ich własną tajemnicą, których nie dostrzegam codziennie z braku sposobności, czy zdolności spostrzegania. Przyszedłem, chcąc się przepoić na chwilę pięknem, dostojęństwem i głębią mego skromnego życia codziennego. Pragnąłem, by mi pokazano tę moc, czy tego boga, które żyją wraz ze mną w pokoju. Sposobiłem się na krótkie, ale szczytne chwile, przeczuwane, a nie pochwycone, czasu upadku ducha, a tymczasem jakiś człowiek opowiadał mi szeroko i długo, dlaczego jest zazdrosny, czemu truł i mordował.

Podziwiam Otella, ale nie dosięga on Hamleta, który ma czas wieść podniosły żywot codzienny, ponieważ nie działa. Otello jest wspaniale zazdrosny, ale nie ulegajmyż staremu błędowi, sądząc, iż żyjemy naprawdę w chwilach takiej, czy innej namiętności. Znałem starca, który siedział poprostu w świetle lampy, dumając o prawach wieczystych i nadśluchując szmerów w domu. Nie wiedział dużo o świecie, obcował jeno z duszą własną, mnie zaś wydawało się, że wie dzie żywot realniejszy, głębszy, bardziej ludzki i naturalniejszy, niż kochanek dławiący kochankę, kapitan odnoszący zwycięstwo, lub „małżonek broniący swego honoru.“

Zarzucić temu można, że życie w bezruchu jest

niewidzialne, a wszelki ruch mieści się najlepiej właśnie w przedstawianych dotąd namiętnościach. Nie wiem doprawdy, czemu by niemożliwym miał być teatr statyczny? Istnieje nawet. Większość sztuk Ajschylosa, to wszakże tragedje bezruchu. Pomijam Prometeusza i Suplikantki, gdzie się nie dzieje, zwracam atoli uwagę, że Choephory, to najstraszniejszy dramat starożytności, w którym zbrodnia jawi się jak błyskawica pośród zwału modłów. Spójrzjmy z tego punktu na kilka najpiękniejszych tragedji dawnych, jak n. p.: Eumenidy, Antygonę, Elektrę i Edypa.

— Twórcy ci — powiada Racine w przedmowie do Bereniki — podziwiali Ajaksa Sofoklesa, który zabija się z żalu, iż mu odmówiono zbroi Achileśa. Podziwiali też Filokteta, którego całym tematem jest Ulisses, przybywający po strzały Herkulesa. Edyp sam nawet mniej jest obciążony materją, niż przeciętna tragedja współczesna.

Czyż nie jest to wszystko przedstawieniem życia w bezruchu niemal? Brak tu nawet akcji psychologicznej, wyższej stokroć nad materjalną i często niezbędną. A i ją ograniczyli ci twórcy w sposób przedziwny, tak że nie zostało nic prócz zainteresowania, jakie budzi stosunek człowieka do wszechświata. Nie jesteśmy już pośród barbarzyńców i ludzie nie szaleją z namiętności, sądząc

że to najciekawsze. Możemy patrzeć spokojnie. Idzie o życie samo, nie zaś moment gwałtowny i wyjątkowy życia. Istnieje mnóstwo praw potężniejszych i czcigodniejszych, niż prawo namiętności, są atoli powolniejsze, dyskretne i milczące jak wszystko co nieodporne, a wyczuwamy je jeno w półcieniu i skupieniu ukojnych chwil życia.

Gdy Ulisses i Neoptolemos przybywają do Filokteta po zbroję Herkulesa, zachowują się tak spokojnie i swobodnie jak człowiek współczesny, który odwiedza chorego, podróżny stukający do drzwi gospody, lub matka czekająca przy kominku powrotu dzieci swoich. Sofokles zaznacza kilku rysami charakter bohaterów swoich, ale tragedia cała nie kulminuje w konfliktach różnych uczuć, czy cech indywidualnych. Idzie mu o pokazanie życia człowieczego na stopniu wyższym. Poeta dorzuca do powszedniości coś, co jest tajemnicą poetów i oto zaraz wszystko jawi się w cudownej dostojności, poddaniu nieznanym potęgom, w bezmiarze nieskończonych związków, czy nawet nędzy pełnej namaszczenia. Chemik wpuszcza do naczynia z czystą, zda się, wodą, kilka tajemniczych kropeł i zaraz rośnie aż po brzegi budowla kryształów, objawiając nam, że naczynie zawierało coś, czego nie dostrzegły oczy nasze. W Filoktecie psychologia trzech głównych osób tworzy właśnie

takie naczynie z czystą wodą życia powszedniego i w nie to właśnie wpuszcza poeta rewelacyjne krople geniuszu swego.

Czyż tedy piękno i podniosłość wielkich tragedji tkwi w słowach, nie zaś w czynach i czyż one to jeno objawiają owe zalety? Nie! Nie dość dIALOGU zewnętrznego i koniecznego, słowa z pozoru niepotrzebne kryją częstokroć duszę utworu. Tego to drugiego dIALOGU słucha ona bacznie, gdyż stąd właśnie mówią do niej. Zbadawszy rzecz starannie, nabierzemy przekonania, że jakość i rozmiary tego dIALOGU niepotrzebnego dla akcji decydują o doniosłości i wartości utworu. Oczywiście w dramatach przeciętnych dIALOG niezbędny nie odpowiada wcale rzeczywistości, a to co stanowi tajemnicze piękno wybitnych tragedji ukryte jest właśnie w słowach wypowiedzianych obok prawdy ścisłej i oczywistej. Piękno to tkwi w słowach zgodnych z prawdą głębszą i nierównie bliższą duszy niewidzialnej, podtrzymującej poemat. Można nawet powiedzieć, że poemat zbliża się do piękna i prawdy wyższego typu w miarę jak wyklucza słowa, wyjaśniające czyny, zastępując je innemi, które ujmują nie sam nawet „nastrój duszy,“ ale owe nieuchwytnie jej wzloty ku pięknu i prawdzie. To jest miarą zbliżenia się poematu do życia prawdziwego. W życiu codziennem nieraz musimy rozwikłać za-

pomocą słów groźną sytuację. Czyż w takich razach największe ma znaczenie, co mówimy i to co nam odpowiada ktoś drugi? Czyż sprawy nie rozstrzygają inne siły i inne, niedosłyszalne słowa, jakie tu wchodzi w grę? To co mówię, znaczy zazwyczaj nie wiele, idzie tu o moją obecność, nastrój duszy, przyszłość i przeszłość moją, decyduje to co się ze mnie urodzi i co we mnie zmarło, myśl tajona, konstelacja, przeznaczenie, słowem mnóstwo tajemnic które otaczają mnie i przeciwnika. To właśnie przemawia w momencie tragicznym i to odpowiada. W każdym słowie mojem i drugiego człowieka jest to wszystko i to właśnie widzimy i słyszymy obaj mimowolnie.

Jeśli przybyli do mnie z zamiarem zabicia, „shańbiony mąż“, „zdradzony kochanek“, czy „opuszczona kobieta“, ramienia ich nie powstrzymają me, najwymowniejsze nawet błagania. Rozbroić ich może jeno jedna z owych sił tajemnych, czuwających nad duszą moją i dokona tego, jeśli wyrzeczy niedosłyszalne słowo. W tej sferze rozstrzygają się zatargi, takiego dialogu echo usłyszeć należy. Być może, właśnie to echo, niezmiernie słabe i zmienne, rozbrzmiewa w cytowanych powyż utworach. Czyżbyśmy mogli zbliżyć się potrosze do tej dziedziny, gdzie wszystko „dzieje się rzeczywiście?“

Nie brak takich usiłowań. Uczyniłem to już niezręcznie przy okazji dramatu Ibsena, „Budo-wniczy Solness,“ dopatrując się w nim tragicznego djalogu „drugiego stopnia.“ Są to niezaprzeczalnie ślady rąk ślepcy na murze, zmierzającego ku temuż samemu światłu. Zadałem pytanie, co dorzucił w Solnessie poeta do życia zewnętrznie błachego, by je uczynić tak dziwnem, głębokiem i niepokojącym? Trudno to wyjaśnić, a stary mistrz posiada niejedną jeszcze tajemnicę. Sądzę, że to co chciał powiedzieć jest niczem jeszcze wobec tego co powiedzieć musiał. Wyzwolił potęgi duszy, dotąd więzione, a one opętały go.

— Hildo! — woła Solness — we mnie i w tobie tkwi jakieś djabelstwo! I ono o to wprawia w ruch zewnętrzne potęgi. Musimy się poddać. Czy chcemy, czy nie, ulec trzeba!

Djabelstwo to tkwi w nas wszystkich. Hilda i Solness to pierwsi, sądzą, bohaterowie, czujący że żyją przez chwilę w atmosferze duszy i to życie zasadnicze, które odkryli w sobie ponad życiem powszedniem, przeraża ich. Hilda i Solness, to dwie dusze, wyczuwające swój stosunek do życia prawdziwego. W różny sposób poznać można człowieka. Biorę za przykład dwie, czy trzy osoby, które widuję codziennie niemal. Z początku rozróżniałem je według gestów, nawyków zewnętrznych, lub

wewnętrznych, a wreszcie wedle sposobu odczuwania, działania i myślenia. Ale w każdej przyjaźni trwalszej nastaje chwila tajemnicza, kiedy spostrzegamy, rzec można, stosunek przyjaciela do tego co nieznane i stosunek przeznaczenia do niego. Od tego momentu jest on naszym rzeczywiście. Poznaliśmy raz na zawsze jak go traktują wydarzenia zewnętrzne. Wiemy, odnośnie do jednego na przykład, że choćby się skrył w domu i trwał w bezruchu z obawy zmaćcenia czegoś w wielkim rezerwoarze przyszłości, niezliczone, pisane mu przygody odnajdą go i zaczną jedna po drugiej pukać do drzwi. Drugi natomiast wróci zawsze z próżnemi rękami, choćby szukał awantur po całym świecie. W dniu kiedy otwarły się w ten sposób oczy nasze, posiadliśmy wiedzę nieomylną i wiemy, że takie a takie wydarzenie znajdujące się tuż pod ręką danego człowieka nie dosięgnie go.

Od tej chwili osobna część duszy włada przyjaźnią istot najinteligentniejszych i najciemniejszych w równej mierze. Następuje rodzaj transpozycji życia. Napotkawszy przypadkiem człowieka tak dobrze znanego, możemy mówić o padającym śniegu, czy mijających nas kobietach, a mimoto w każdym z nas będzie coś pytało, badało, pogłędało i wiodło rozmowę o rzeczach, których zrozumieć obaj nie jesteśmy w stanie.

Hilda i Solness popadli, jak sędzę w ten stan i widzą się wzajem w taki sposób. Rozmowa ich odmienna jest od rozmów dotąd słyszanych, a to z powodu, że poeta pomieszał rozmyślnie słowa dialogu zewnętrznego i wewnętrznego. W tym dramacie somnambulicznym tkwi jakaś nowa potęga. Wszystko co się tam mówi, zakrywa i odsłania jednocześnie nieznane źródło życia. Dziwi nas to chwilami, ale pamiętajmy, że dusza własna wydaje nam się nieraz potęgą szaleńczą i że są w człowieku strefy bujniejsze, głębsze i ciekawsze od dziedzin rozsądku i inteligencji.

GWIAZDA.

1890

X.

GWIAZDA.

Każdego wieku, rzecz można, poeta tragiczny „przebiegał labirynty przeznaczenia, dzierżąc w rękę pochodnię poezji.“ Utrwalili w ten sposób wedle sił i okoliczności duszę ludzkich annałów, tworząc historję boską. W nich to jedynie odczytać można nieskończone warjacje ogromnej, niezmiennej potęgi. Studium takie jest niezmiernie ciekawe, albowiem to co najczystsze w duszy narodów ukształtowało się wedle idei, jaką miały o tej potędze. Nie zamiera ona nigdy całkiem, ale słabnie czasem i wówczas widzimy, że życie nie jest ani zbyt silne, ani głębokie. Potęgę tę czczono raz tylko niepodzielnie, a wówczas była dla samych nawet bogów przerażającą tajemnicą. Dziwne to, zaiste, że epoka w której objawiło się bóstwo bez twarzy, najstraszliwsze i najniezrozumialsze, była jednocześnie epoką dla ludzkości najszczęśliwszą,

a najszczęśliwszy właśnie z tych ludów wyobraził sobie przeznaczenie w postaci najokropniejszej.

Jakaś siła tajemna tkwi w tej idei, albo idea ta jest znakiem siły. Czyż człowiek staje się podnioślejszym w miarę jak pojmuje ogrom niepoznawalnego, które nim włada, czy może to niepoznawalne wzrasta wraz z człowiekiem? Wydaje się jakby się budziła idea przeznaczenia. Dobrzeby było może poszukać go? Ale gdzież jest? Zresztą znaczyłoby to tyle co szukać smutku. Niema przeznaczenia radości, ni gwiazd szczęśliwych. Te które tak nazwano, trwają jeno w oczekiwaniu. Trzeba jednak czasem szukać smutku, poznać go i podziwiać, choćby nas jeszcze w pełni nie doścignął los.

Jest to zarazem najskuteczniejszy sposób odnalezienia siebie, bowiem całą wartość naszą stanowi, rzec można, nasz niepokój i nasz smutek. W miarę rozwoju człowieka staje się on głębszy, szlachetniejszy i piękniejszy, a Marek Aureljusz był człowiekiem największego godnym podziwu dlatego, że zrozumiał lepiej od innych to co tkwi w uśmiechu rezygnacji. Tosamo powiedzieć trzeba o smutkach ludzkości całej. Kroczą one tą samą drogą, co indywidualne, jest ona tylko dłuższa, pewniejsza i wiedzie do ojczyzny, którą poznają jeno przybywający ostatni. Zaczyna się od bólu

fizycznego, przechodzi przez bojaźń bożą, a urywa się dziś u nowej przepaści, której nie zgłębili dotąd najlepsi z nas.

Każdy wiek miłuje inny ból, gdyż każdy dostrzega inne przeznaczenie swoje. Nie interesują nas dziś katastrofy namiętności, a najtragiczniejszy utwór dawny mieści smutek niższego typu niż nasz, współczesny. Dotyka nas on tylko pośrednio, gdyż myśli nasze i dostojeństwo bólu życia dorzucają smutek nowy do prostych przejawów nienawiści i miłości, jakie przedstawia.

Dotarliśmy, rzec można do krawędzi nowego pesymizmu, tajemniczego i czystego. Najgroźniejsi mędracy, Schopenhauer, Carlyle, myśliciele rosyjscy, skandynawscy, a nawet pocziwy optymista Emerson (n. b. nic tak nie zniechęca jak dobrowolny optymizm) przeminęli, nie wyjaśniwszy nam naszej melancholji. Czujemy, że pod całem ich rozumowaniem tkwią motywy głębsze, przez nich nie wykryte. Smutek ludzi, który po nich nastał, dziś już piękny, wyszlachetniawszy jeszcze, znajdzie swego genjusza, a gdy on wypowie ostatnie słowo, uzyskamy może czystość pełną.

Władają nami narazie potęgi dziwne, my zaś domyślamy się jeno ich zamysłów. Szekspir, Racine i ich następcy sądzili, że nieszczęścia są wynikiem pożądań serc naszych. Katastrofa to

rzecz konkretna i wiadomo gdzie ma swe źródło. Człowiek jest im zawsze sprawcą swego losu. Inaczej było za Greków, czasu wielkiego władztwa fatalizmu. Fatum było niedostępne i nie śmiano go indagować. Dziś zadajemy mu pytania i to jest oznaką teatru nowego. Nie poprzestając na samych skutkach nieszczęścia, szukamy jego istoty i praw, jakim podlega. Pierwsi tragicy zajmowali się temsamem, ale podświadomie i to właśnie otaczało tajemniczym cieniem gwałtowne gesty i śmierć, zewnętrznie traktowaną, dla nas natura nieszczęścia stała się punktem centralnym i ogniskiem tych wszystkich migotliwych światełek, dokoła których wirują dusze. Postąpiliśmy o krok ku tajemnicy, by spojrzeć w straszliwe oblicze życia.

Ostatni tragicy nasi patrzą na nieszczęście pod kątem bardzo interesującym. Stanęli bliżej niż Grecy i zapuścili spojrzenie głębiej w płodną ciemń jego wnętrza. Bóstwo jest to samo, ale nasza niezajomość jego jest wnikliwsza. Nie wiemy skąd przybywa, dokąd zmierza i czemu zstępuje ku nam. Grecy zrzadka jeno pytali o to. Żali jest nam pisane i rodzi się wraz z nami? Może samo idzie na nasze spotkanie, lub wabi je wołanie z głębi jestestwa naszego, będące z niem w spisku. Chcąc to stwierdzić, trzebaby patrzeć z jakiegoś innego świata na zachowanie się człowieka, którego czeka

cios bolesny. Któryż to z ludzi nie pracuje bezwiednie nad wykuciem bólu, który się stanie osią jego życia?

Chłopi szkoccy mają wyrażenie, obejmujące te wszystkie zjawy. W legendach swych zwą słowem *fey* stan nieodporny i przymusowy człowieka zmierzającego do katastrofy, wbrew wszelkim ostrzeżeniom i pomocy z zewnątrz. *Fey* ciężył na Jakóbie I-ym, kiedy, mimo strasznych prorocत्व ziemi, piekła i nieba pojechał na Boże Narodzenie do ponurego zamku Perth, gdzie nań czychał morderca, nikczemny Robert Gracone. Każdy z nas uświadomi sobie tego rodzaju przymus, wspomniawszy nieszczęście, które zadecydowało o życiu. Mam tu na myśli jeno nieszczęścia aktywne, możliwe do uniknięcia, nie zaś bierne, jak n. p. śmierć drogiej osoby, na które żaden postępek nasz wpływu mieć nie może. Wszak pamiętamy fatalny dzień naszego życia. Żaliż nie zostaliśmy ostrzeżeni. Myśląc dziś o tem, czujemy, że cały tok rzeczy byłby zgoła zmieniony przez krok któregośmy nie uczynili, przez otwarcie drzwi, przez podniesienie ręki i uświadamiamy sobie dokładnie owo daremne szamotanie się nad brzegiem przepaści, ową walkę z siłą nieuchwytną, a przemożną.

Czasem znów powiew wpadający przez otwarte drzwi gasi na zawsze nikłą lampkę szczęścia i kiedy

potem dumamy nad tem, trudno powiedzieć, żeśmy tego nie wiedzieli z góry. Tak uczyniliśmy, mimo że nie było ważnego powodu przekraczać tego progu. Mogliśmy pójść dalej, wzruszając ramionami, a żadna ludzka racja nie zmuszała do zapukania. Żadna racja, to prawda, sam jeno tylko los.

*

Przypomina to fatalizm Edypa, a jednak jest to co innego. Rzec można, mamy tu fatalizm *ab intra*. Działają w nas potęgi tajemne i to jakby w porozumieniu z przygodami. Hodujemy w duszy wrogów, którzy wiedzą co czynią i do czego nas nakłaniają. Kiedy nadchodzi fatalna chwila szepcą nam półsłówka ostrzegawcze, za mało wyraźne, by nas powstrzymać, dostateczne jednak by wzbudzić żal po niewczasie, żeśmy nie usłuchali tych rad połowicznych i szyderczych. Do czegoż zmierzają owe złowrogie siły, działające tak jakby były niezależne i nie ginęły wraz z nami? Wszakże żyją w nas samych właśnie! Cóż pobudza do czynu spiskowców, żywiących się krwią naszą?

Człowiek, któremu wybiła godzina nieszczęścia, wpada w wir niewidzialny, od lat długich przysposobiony i oparty na niezliczonych wydarzeniach, które go wiedą w oznaczonej minucie na miejsce cierpienia. Wspomnijmyż swe wysiłki i przeczucia. Wspomnijmyż daremne próby ratunku. Wszakże

każdy z nas pamięta owe litośne okoliczności, usiłujące nam zagrozić drogę, które odepchnęliśmy, jak natrętnych żebraków. Były to lękliwe przyjaciółki, chcące nas ocalić, a odeszły, będąc za słabe i zbyt nikłe, by walczyć przeciw rzeczy postanowionej. Dokądże poszły?

Zaledwo spełniło się nieszczęście, ogarnia nas uczucie dziwne, że ulegliśmy wieczystemu prawu i wśród najdotkliwszego cierpienia doznajemy ulgi, będącej niejako nagrodą za posłuszeństwo. Nigdy nie jesteśmy bliżsi samym sobie, niż nazajutrz po katastrofie bez wyjścia. Mamy wrażenie, żeśmy odnaleźli siebie, żeśmy odzyskali częśćkę nieznaną, a niezbędną własnej istoty. Spływa na nas jakiś dziwny spokój. Od wielu już dni, podczas gdyśmy się uśmiechali do ludzi i kwiatów, moce buntownicze duszy toczyły straszliwy bój nad brzegiem przepaści, teraz kiedy spadliśmy na dno, oddychamy swobodnie.

Moce te szamocą każdą duszę nieustannie. Dostrzegamy nieraz, ale jeno przelotnie, gdyż wolimy patrzeć na błachostki, cień owej walki, wobec której bezsilną jest wola nasza. Czasem, zabawiając się w kole przyjaciół, doznajemy, wśród śmiechu i żartów wrażenia, że na twarz któregoś z nas, padł cień czegoś nie z tego świata. Nastaje nieumotywowane milczenie i wszyscy patrzą na

siebie przez chwilę oczyma duszy. Potem śmiechy i słowa, które uciekły jak żaby spłoszone ze stawu, wracają coprędzej na powierzchnię. Ale potęga niewidzialna wzięła swój trybut, jak zawsze. Zrozumieliliśmy, że jakaś walka została zakończona, jakaś gwiazda weszła, czy spadła i że ustalone zostało jakieś przeznaczenie.

Przeznaczenie to było może dawno sformułowane, a walka stanowiła pozór jeno, któż wie? Gdy otwieram dziś drzwi domu, gdzie mnie czeka pierwszy uśmiech smutku, który już nie minie, czynię to tylko co było postanowione od dawna? Na cóż się zdało hodować osobowość, na którą nie mamy żadnego wpływu? Obserwujemy raczej gwiazdę naszą. Może być dobra, lub zła, biała, lub jasna, a żadna moc ziemi tego nie zmieni. Ludzie ufający jej ciskają nią, niby szklaną kulą na wszystkie strony, wiedzą bowiem, że wróci do rąk i że się nie stłucze. Inni nie śmią podnieść oczu, pewni iż oderwana od firmamentu spadnie im pod stopy na proch rozbita.

Ale niebezpiecznie jest o tem myśleć, bo to znak, że zaczyna gasnąć.

Znajdujemy się tu w otchłaniach nocy i czekać możemy jeno tego co nastąpi. Niema już mowy o woli, bujamy powyż niej, w sferze, gdzie sama wola jest owocem dojrzałym dla przeznaczenia.

Nie trzeba się zalić, wiemy już coś i odkryliśmy kilka nawyczek przypadku. Czekamy, jak ptasznik, obserwujący zwyczaje ptaków wędrownych, a kiedy zdarzenie jakieś zarysuje się na widnokręgu, wiemy że nie będzie odosobnionem, ale bracia jego osiedą na temsamem miejscu. Dowiedzieliśmy się już potrosze, że je przyciągają pewne myśli i dusze, niektórzy ludzie posiadają moc odwracania ich lotu od siebie, zaś do innych dążą z wszystkich stron świata.

Wiemy też, że pewne ideje są bardzo niebezpieczne, że dość uczuć się na chwilę bezpiecznym, by ściągnąć piorun, wiemy też, że szczęście wytwarza próżnię, w którą zaraz padają łzy. Po pewnym czasie dostrzegamy też upodobania przygód nieszczęsnych. Krocząc drogą życia z którymś z braci naszych, uczynić łatwo spostrzeżenie, że nawyki przypadku są dlań różnorodne, podczas gdy idąc z drugim, napotkamy zawsze te same niezmiennie. Żyją, rzecz można, w sferze niezbadanej istoty, chroniące człowieka i inne, które go wystawiają na niebezpieczeństwo. Jedne usypiają, inne zaś budzą przyszłość. Przypuszczamy, że nieszczęście rodzi się zrazu słabe i czerpie z nas swą siłę, a w każdym przypadku zachodzi moment, kiedy instynkt ostrzega nas, że jesteśmy jeszcze panami swego przeznaczenia. Podobno, jak twier-

dzą niektórzy, można się nauczyć być szczęśliwym, podobno, w miarę jak się stajemy lepsi, spotykamy ludzi takichsamyh właśnie, podobno człowiek dobry przyciąga niezawodnie wydarzenia dobre jak on, a w pięknej duszy los najsmutniejszy przybiera kształt piękna.

Nie trudno zauważyć, że dobroć daje znak dobroci i że zawsze dla tychsamyh ludzi poświęcamy się i zdradzamy tychsamyh. Czyż cierpienie zachowa się taksamo w dwu przytykających do siebie domach, u sprawiedliwego i przestępcy i czyż nieszczęście twe będzie czyste, gdy czysty jesteś? Opanowuje przyszłość swą ten, zda się, kto umie przemienić przeszłość w kilka smutnych uśmiechów, a w tem nawet co nieuniknione, możemy opóźnić coś chyba. Niepomyślne wydarzenia drzemia często, a budzi je zbyt gwałtowne poruszenie. Nieszczęście nie spadłoby może dziś, gdybyś rannym nie snuł radosnych, hałaśliwych myśli.

Tyle jeno zdobyć zdołała mądrość nasza z tych ciemni, niewiadomo zresztą, czy w owych sferach istnieją prawdy stalsze. Nauczmyż się tedy narazie uśmiechać i płakać w ciszy i pełnej prostoty dobroci.

Ponad to wszystko wznosi się zwolna niedokończone oblicze dzisiejszego przeznaczenia. Uchylony został rąbek słoniącego je wczoraj welonu

i widzimy pełni niepokoju dwie moce, potęgę tych, którzy nie żyją jeszcze, oraz potęgę zmarłych. Jest to zresztą jeno cofnięcie tajemnicy w głąb. Wyolbrzymiliśmy lodowatą dłoń przeznaczenia i oto w cieniu jej łączą się dłonie niezrodzonych dzieci naszych z dłońmi przodków. Wydało się, żeśmy znaleźli schronę dla wszystkich swobód naszych, a miłość stała się świątynią tym, którzy zbyt boleśnie odczuwali brzemię kajdan życia. Tu przynajmniej, powiedzieliśmy sobie, w tym samotnym, tajnym przybytku nikt nas napastował nie będzie i możemy swobodnie odetchnąć przez chwilę. Tutaj włada dusza nasza w tym centralnym punkcie wolności. Tak sądziliśmy, ale oto powiedziano nam niebawem, że nie kochamy wcale z własnego popędu, ale nawet w samej świątyni miłości podlegać musimy bezlikowi praw nieostrzegalnych. Powiedziano nam, że jesteśmy oddaleni o tysiące stuleci od nas samych w chwili wyboru kochanki, a pierwszy pocałunek narzeczonego, to pieczęć, którą tysiące istot żądnych narodzin kładą na usta przyszłej matki swojej. Wiemy także, że umierający nie umierają, że pełno ich nie tylko wokoło kościołów, ale w domach, w nas i naszych nawyknięciach, że niema gestu, myśli, grzechu, łzy, czy odrobiny świadomości nabytej, któreby znikły w głębi ziemi. Za każdym, naj-

blachszy czynem naszym, przodkowie powstają nie z grobów, gdzie leżą bez ruchu, ale budzą się w nas samych, gdzie żyć nie przestali.

Wiedzie nas w ten sposób przeszłość i przyszłość, a chwila obecna, stanowiąca przecież samą istotę naszą, zapada w głąb, niby małą wysepką, szarpana falami dwu wrogich sobie oceanów. Dziedziczność, wola i przeznaczenie, wszystko to miesza się z hałasem w duszy naszej, ponad tem zaś lśni milcząca gwiazda. Nakleja się doraźne etykiety na potworne amfory, zawierające to co niewidzialne, a słowa te nie wyrażają wcale niemal rzeczy koniecznych, Dziedziczność, czy przeznaczenie to także jeno promień tej gwiazdy, zatracony w tajemniczej nocy. Wszystko zaś ma prawo do większej jeszcze tajemnicy.

— Zwiemy przeznaczeniem to, co nas ogranicza!
— powiedział jeden z wielkich mędrców współczesnych.

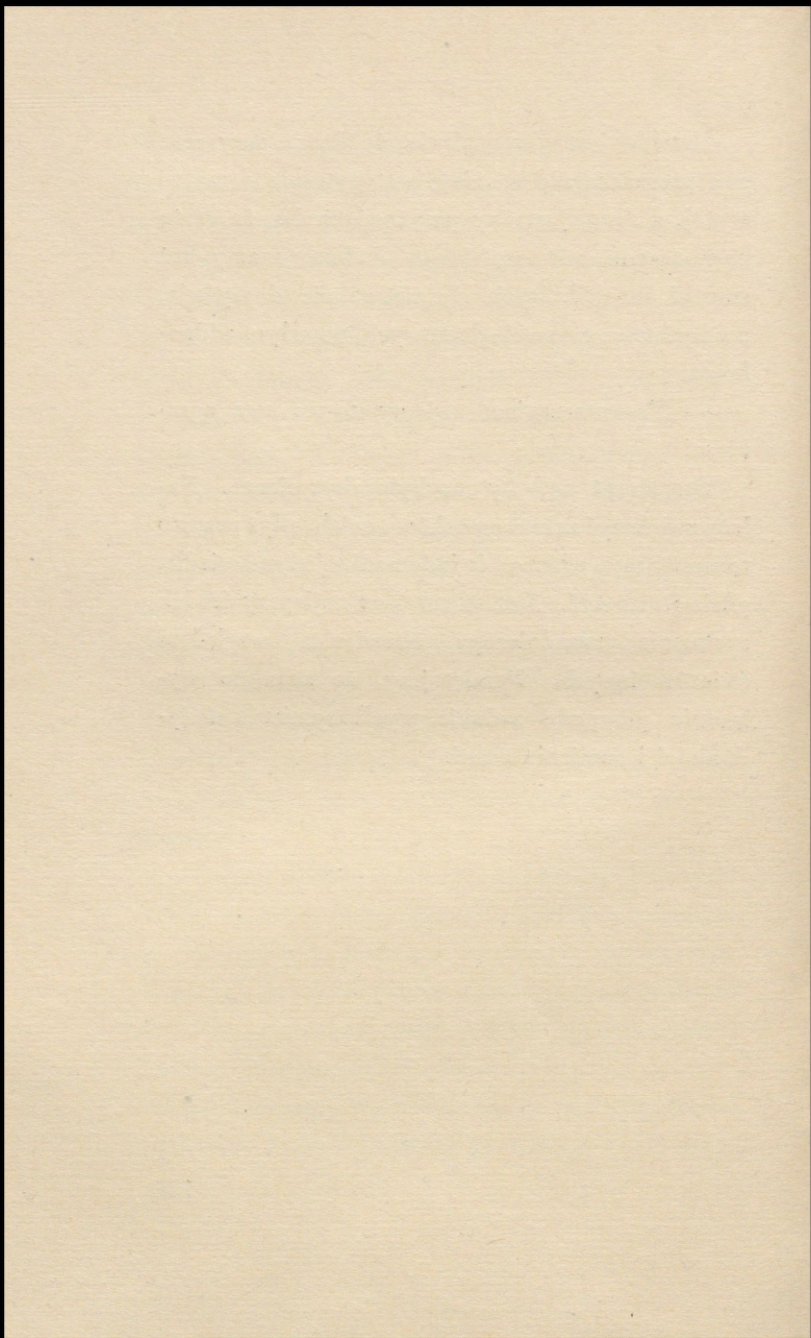
Dlatego właśnie wdzięczni być powinniśmy tym, którzy idą omackiem, drżący ku granicom poznania.

— Ile razy jesteśmy brutalnymi barbarzyńcami, — dodał — przeznaczenie przybiera formę brutalną i barbarzyńską. Wraz z nabieraniem kultury niepowodzenia nasze stają się również subtelniejszymi. Wznosząc się na poziom ducha, nadajemy kształt duchowy przeciwnościom swoim.

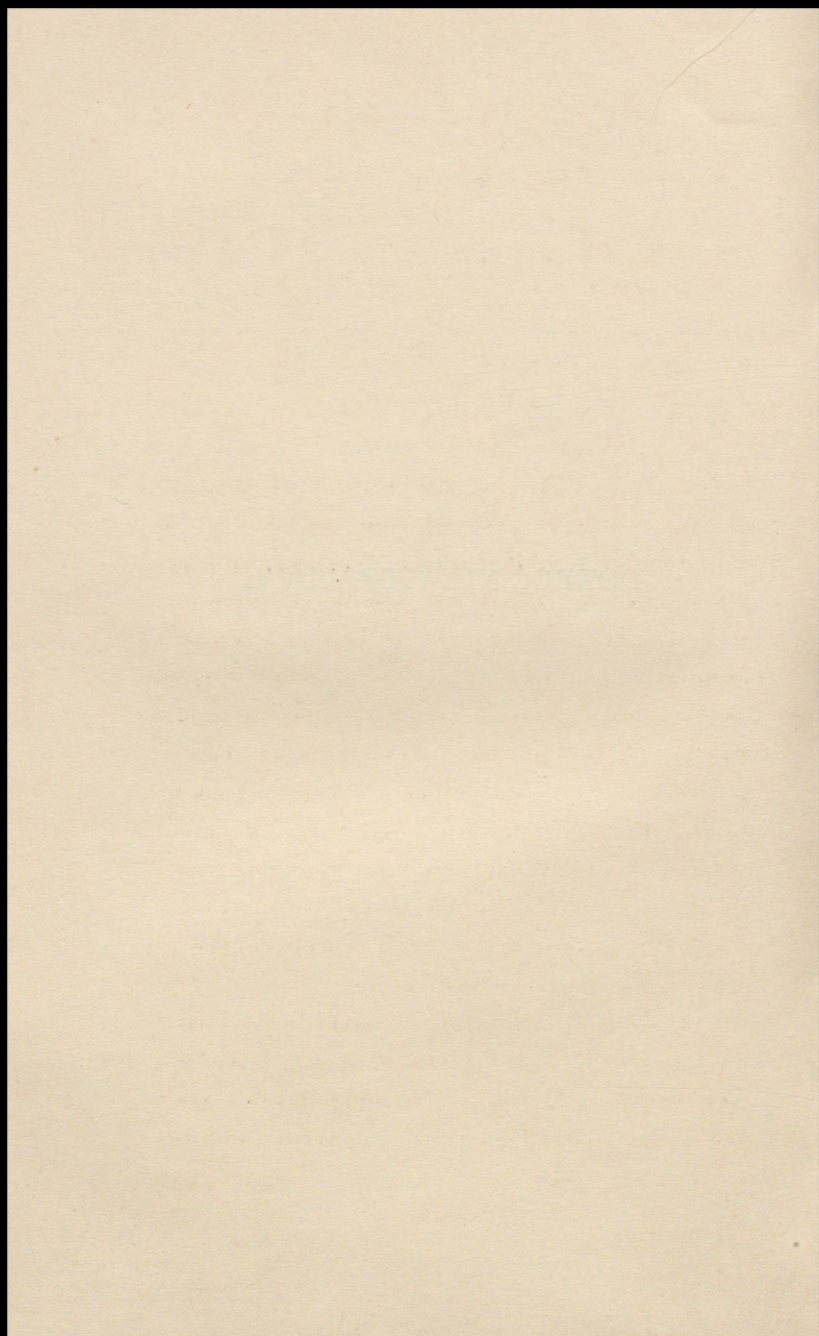
Prawdą jest niewątpliwie, że dusza oczyszcza swe przeznaczenie w miarę wstępywania coraz to wyżej, z drugiej strony przyznać trzeba, że grożą nam tesame nieszczęścia co dzikim, mamy też smutki inne, których się nawet nie domyślają, a umysł nasz szuka ciągle nowych, po całym widnokręgu.

— Przeznaczeniem zwiemy to co nas ogranicza!

Starajmyż się, by nie było zbyt ciasne. Należy zwiększyć zakres smutków swoich, gdyż przezto rozszerzamy własną świadomość, jedyne osiedle, gdzie warto żyć. Jest to zarazem najlepszy środek spełnienia zasadniczego obowiązku względem światów innych. Pamiętajmy, że nam to wyłącznie przypada zadanie wyolbrzymienia świadomości i sumienia ziemi.



DOBROĆ NIEWIDZIALNA.



XI.

DOBROĆ NIEWIDZIALNA.

Jest to coś, czego nie dostrzegamy, z czem się nikt nie liczy, a jednak, jak sędzę, siła ta utrzymuje przy życiu wszystkich! — powiedział mi pewien mędrzec, napotkany u brzegu szemrzącego zcicha oceanu. Bogowie, z których zrodzeni jesteśmy, przejawiają się w nas w tysiące rozmaitych sposobów, ale owa dobroć tajemna, a niedostrzeżona, o której nikt dotąd nie mówił bezpośrednio, to zaiste znak najwyraźniejszy wiecznego życia. Nie wiemy skąd się bierze. Staje poprostu uśmiechnięta na progu duszy, my zaś nie możemy powstrzymać się od miłowania tych, którym uśmiecha się często i przyjaźnie, choćby ludzie ci dręczyli nas samowolnie dniem i nocą.

Nie jest ona z tej ziemi, a jednak bierze udział we wszystkich niemal czynach naszych. Nie zadaje sobie nawet trudu, by się nam objawić w spojrzeniu, czy łzie, ale kryje się, z niewiadomego zgoła

powodu, nie chcąc jakby okazać potęgi swojej. Wie, że najbezwolniejszy ruch ujawni wokoło niej rzeczy nieśmiertelne, my zaś jesteśmy bardzo łakomi tych rzeczy. Czemuż więc tak bardzo obawiamy się wyczerpać zapasy nieba, które jest w nas? Nie mamy odwagi działać wedle przykazań Boga, który mieszka w nas. Boimy się wszystkiego, co nie jest wyrażone gestem, czy słowem i zamykamy oczy na czyny nasze, w sferze, gdzie wszelkie objaśnienia nie mają celu. Skądże więc ta trwożliwość w człowieku, gdy idzie o dzieła boskie? Moznaby powiedzieć, że w miarę jak gest duszy zbliża nas do boskości, staramy się tem usilniej ukryć to przed braćmi naszymi. Czyż może człowiek jest bogiem, który się boi, lub ktoś zabronił nam zdradzać moce wyższe? Wszystko co nie jest z tego, aż nazbyt widzialnego świata, posiada wrażliwą skromność chorej dziewczynki, której nie przyzywa matka w chwili, gdy ludzie obcy wchodzą do domu. Dlatego też tajemna dobroć nie przekroczyła dotąd cichych bram duszy naszej. Żyje w nas jak niewolnica, której wzbroniono zbliżać się do krat. Nie jest to zresztą potrzebne, sama jej obecność wystarcza. Mimo, że skryta, z chwilą, gdy podniesie głowę i dotknie ogniwa łańcuchów, czy dłoń rozewrze, więzienie zalewa światłość, kraty pękają pod ciśnieniem wnętrza.

nej światłości, widzimy otchłań pełną aniołów, wszystko milknie, spojrzenia odwracają się od siebie, a dwie dusze padają sobie, płacząc w objęcia, na progu. Nie jest to rzecz tej ziemi, na cóż tedy zdałyby się wszelkie opisy? Muszą mieć ten sam punkt widzenia ci, którzy mnie chcą zrozumieć. Bezczelowem byłoby kroczyć dalej w tym kierunku dla człowieka, który nigdy w życiu nie odczuł swojej dobroci niewidzialnej, ale sądzę, że wszyscy ją odczuwamy, a najgorsi z nas mają chyba chwile tej dobroci niewidzialnej. Czy tak jest istotnie, oczywiście niewiadomo, gdyż wielu ludzi tępi boskość w duszach swoich. Starczy jednak, ufam, jednego momentu zapomnienia, by to co lepsze rozpostarło skrzydła. Ludzie źli nie pilnują się ustawicznie w złości swej, przeto bywają często dobrzy chociaż tego nie widać, a przeciwnie, mędracy i święci nie zawsze posiadają ową dobroć niewidzialną.

— Zadałem nieraz ból, — powiedział mi jeszcze ów mędrzec — podobnie jak każda istota żywa drugiej istocie. Tak być musi w świecie, gdzie nikt nie jest sam, ale wszystkich łączą nici tajemne. Najłagodniejszy odruch dobroci, czy miłości rani częstokroć serce niewinne. Sprawilem nieraz przykrość także i dlatego, że w najwrażliwszym człowieku tkwi potrzeba odnalezienia jakiejś części samego siebie w cierpieniu bliźnich.

Pewne ziarna w duszy tkwiące kielkują jeno w deszczu łez cudzych, a mimoto wydają piękne kwiaty i zdrowe owoce. Trudno! Prawo to nie jest dziełem naszem, a nie wiem doprawdy czy mógłbym pokochać człowieka, który nie wycisnął nikomu łez? Zdarza się często, że kochający najlepiej sprawiają najwięcej bólu, a płochliwe, czule okrucieństwo bywa nieraz siostrą miłości. Miłość żąda zawsze dowodów, a któryż z nas nie szuka ich przedewszystkiem we łzach kochanki?

Śmierć nawet nie zaspokoiłaby kochanka, gdyby był powolnym wszystkim wymaganiom miłości, bowiem chwila śmierci jest za krótką dla tajemnego okrucieństwa kochających się, a poza nią jest dużo jeszcze miejsca na całe morze powątpiewania. Nawet ci, którzy umierają jednocześnie, nie są wolni od niepokoju, gdyż brak im łez płynących powoli, a długo. Cierpienie, to pierwsza pożywka miłości, a jeśli jej tem nie nakarmimy, umrze, jak noworodek żywiony pokarmem dorosłego. Nie sposób kochać taksamo kobiety, która wywołuje ciągły uśmiech i tej, która czasem wyciska łzy! Trzeba niestety i to często, by miłość płakała, a właśnie w chwili, kiedy łka, więzy miłosne mocnią się i opasują całe życie.

— Sprawiałem ból — ciągnął dalej — dlatego, że kochałem, i także, z powodu że nie kochał.

Wielka to jednak różnica. Łzy miłości oblewały połączone dusze nasze, zraszając coś wspólnego, choć niewyraźnego i wiedziały o tem, zaś łzy drugie padały samotne na pustynię. Ale właśnie w tych chwilach największego napięcia duszy poznawałem moc owej dobroci niewidzialnej, która łzom miłości umierającej dawała boską uludę miłości odrodzonej. Każdy z nas zaznał przecież owych chwil smutnych, kiedy nie można się uśmiechać, a dusza czuje, iż popełniła omyłkę. Słowa rozbrzmiewały opornie w chłodnej atmosferze ostatecznej rozłąki, ręce napół omdlałe, wyciągały się do pożegnania na zawsze, a w chwili takiej właśnie duszę przenikało nieuchwytnie drgnięcie. Dusza druga odczuwała je zaraz i chociaż ciała znużonych kochanków rozdzieliła za chwilę przestrzeń, dusze obojga zapomnieć nie mogły już owego spojrzenia wzajemnego poprzez wyże, których nie widziały nigdy, bowiem zaznały dobroci nieznanej dotąd jeszcze.

Owo drganie tajemnicze, o którym wspominam tu, mówiąc o miłości, może zdarzyć się w najbłahszych okolicznościach życia. Czemże jest? Czy jakimś poświęceniem, pocałunkiem wewnętrznym, pożądaniem wzajemnem dusz, czy wreszcie odczuciem obecności życia niewidzialnego, a różnego naszemu? Żaliz jest to suma piękna i smutku,

zawarta w samym fakcie życia, odczucie jedności jego i niepodzielności, czyż to nas przepaja w takiej chwili? Nie wiem! Ale czujemy wówczas, że jest gdzieś siła nieznana, że stanowimy skarbiec jakiegoś Boga, kochającego wszystko, że żaden gest tego Boga nie mija niepostrzeżenie i wreszcie, żeśmy wkroczyli w sferę, gdzie niema zdrady.

Coprawda, nie wychodzimy od narodzin do śmierci z tych dziedzin ostatecznych, ale błędzimy w Bogu, jak biedni somnambulicy, czy ślepcy, szukający świątyni, w której się znajdują. Walczymy tu z sobą pierś o pierś i dusza o duszę, a lży płyną dniem i nocą. Nie widzimy się, nie dotykamy, a tylko hełmy i tarcze z brązu i żelaza brzęczą o siebie. Za lada jednak okazją, dzięki prostocie niebiosów, opadają na chwilę zbroje i oto dostrzegamy poza nimi lży, uśmiechy dziecięce i jakąś inną prawdę!

Podumał chwilę, potem zaś ciągnął dalej, smutniejszym tonem:

— Wspomniałem już, że zadałem ból pewnej kobiecie, najprzezorniejsi bowiem nawet szerzą wokół siebie cierpienie. Otóż kobieta, którą zraniłem bezwiednie, objawiła mi pewnego dnia potęgę przemożną tej dobroci niewidzialnej. Trzeba cierpieć, by być dobrym, ale trzeba też zadawać

ból, by stać się lepszym. Nabrałem wówczas tego przekonania. Dotarłem właśnie do tej smutnej sfery miłosnej, kiedy kochanek czuje się mieszkańcem nędznej chałupy, a kochanka przebywa jeszcze w pałacu pierwszych upojen. Miłość nasza nie zmarła, jak to bywa wśród ludzi, niby dziecko dotknięte nagłą, a nieuleczalną chorobą. Nie powiedzieliśmy sobie nic. Nie wiem nawet o czym myślałem w tej ważnej chwili. Zapewne o błachostkach, o jakiejś twarzy dostrzeżonej na samotnym bulwarze w świetle latarni. A jednak wszystko odbyło się w świetle o wiele czystsze i jaśniejsze, niżby zabłysnąć mogło przy współudziale wszystkich potęg litości i miłości, jakimi dysponuję. Rozstaliśmy się bez słowa, pojawiały atoli myśli niewyraźne. Wiemy odtąd, że przyszła na świat miłość inna, nie potrzebująca słów, drobiazgowych zabiegów, ni uśmiechów miłości zwyczajnej. Nie spotkaliśmy się już i spotkamy chyba po długich wiekach może. Musimy, zda się, zapomnieć dużo rzeczy i nauczyć się wielu innych w ciągu wędrówki przez mnogie światy, zanim nas połączy to samo drgnienie dusz, które miało miejsce tego wieczoru, ale mamy czas na czekanie.

Od dnia wspomnianego czczę, w najcięższych nawet chwilach tę dobroczynną siłę, wieczycie

obecną i czujną. Kto ją raz ujrzał, nie straci już z oczu jej oblicza, a nawet w najgłębszych zakamarkach nienawiści i łez wyciśniętych okrucieństwem dostrzeże jej uśmiech, mimo że oczy cielesne niezdolne są jej zobaczyć. Czasem przejawia się aktem zewnętrznym, ale nie jest to już prawda duszy, jeno coś, jak kłamstwo człowiecze. Dobroć i miłość świadoma nie oddziałują na duszę, gdyż opuściły dziedzinę królewską gdzie żyją, natomiast dopóki są ślepe, są w stanie zmiękczyć samo nawet przeznaczenie. Znałem ludzi pełniących wszystkie uczynki dobroci i miłosierdzia, którzy nie pozyskali ani jednej duszy, inni natomiast żyjąc z pozoru w kłamstwie i niesprawiedliwości przygarniali do siebie dusze i nikomu na myśl nie przyszło, iż nie są dobrzy. Więcej jeszcze, ludzie nie znający nas, którym doniesiono o naszych czynach miłosierdzia i miłości, o ile nie posiadamy dobroci niewidzialnej, domyślą się istotnego stanu rzeczy i nie sięgniemy nigdy do głębi ich dusz. Istnieje gdzieś, rzecz można powiedzieć, miejsce, gdzie wszystko bywa odważane w obecności duchów, lub jakaś cysterna pewników, z której pije cicha trzoda dusz każdego ranka.

Nie wiemy jeszcze, być może, co znaczy — kochać. Kochamy, nie wiedząc o tem, w tajemnej głębi życia naszego. Kochać tak, znaczy nie tylko litować się, poświęcać wewnątrz, wspomagać, czy

uszcześliwiać, jest to coś o wiele głębszego, czego słowa najczulsze, najbystrzejsze i najsilniejsze wyrazić nie są w stanie. Wydaje się chwilami, że jest to wspomnienie przelotne, ale niezmiernie przenikliwe, wielkiej, pierwotnej jedności. W miłości tej tkwi siła niezmierzona. Każdy z nas odnajdzie w sobie pamięć przedziwnych czynów owej siły, o ile spojrzy na nią od strony świetlnej, na którą zazwyczaj nie zwracamy uwagi. Znajdując się obok osoby obojętnej, czujemy nagle obecność czegoś, co nie zostało wezwane. Dusza, czy życie, obróciło się na drugą stronę, jak śpiący w chwili przebudzenia. Niewiadomo co to jest, ale nie rozstaniemy się już z tą osobą jak gdyby nic nie zaszło.

To jest miłość wedle duszy, a każda ją odwzajemni napewno, bowiem dusza ludzka łaknie tego od wieków i nie trzeba jej wołać dwa razy do biesiady godowej.

Dusze braci naszych krążą ciągle wokół nas i żadne pocałunku czekają na znak. Iluż jednak nie śmiało przez całe życie dać tego znaku. Nie-szczęściem całej egzystencji naszej jest to, że żyjemy tak zdala od własnej duszy i boimy się jej najmniejszego poruszenia. Posiedlibyśmy życie wieczyste, pozwalając jej bodaj uśmiechnąć się szczerze w milczeniu i światłości. Dość zauważyć

do czego jest zdolna w tych rzadkich chwilach, kiedy jej nie pętamy jak szalonej, n. p. w miłości, gdy czasem znajduje sposobność podejścia do kraty życia zewnętrznego. A przecież, wedle przykazu prawdy pierwotnej wszyscy ludzie powinni by się czuć wobec siebie kochankami.

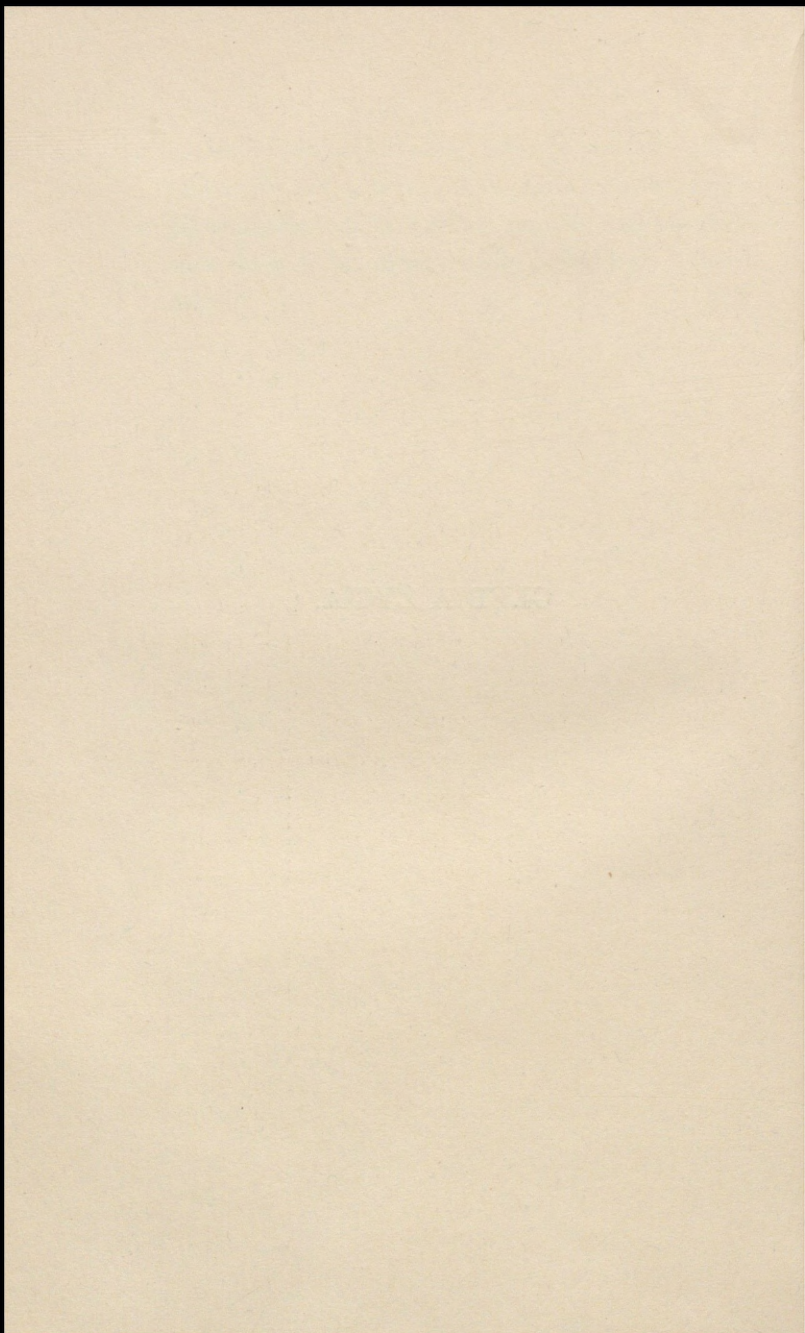
Ta dobroć niewidzialna, o której wspominam tutaj, gdyż jest znakiem najpewniejszym i najznamienniejszym nieustannej żywotności duszy, uszlachetnia w stopniu najwyższym wszystko, czego się dotknie bezwiednie. Niechajże każdy, wyrzekający na drugiego człowieka, wnuknie w siebie i spyta, czy był dlań kiedy dobry. Ile razy napotkałem kogoś, przy którym uczułem drgnienie owej dobroci niewidzialnej, człowiek ten stawał się zaraz lepszym ode mnie. Bądźmyż głęboko dobrymi, a spostrzeżemy, że otaczający nas będą równie głęboko dobrzy. Nic nie odpowiada tak pewnie wołaniu tajemnemu dobroci, jak podobny okrzyk dobroci pobliskiej. Gdy jesteśmy dobrzy w sposób aktywny, a niewidzialny, ludzie zbliżający się do nas, dokonują na oślep rzeczy, którychby uczynić nie mogli przy kimś innym. Działa tu siła bez nazwy, nastaje nieodporne współzawodnictwo duchowe. Tutaj mieści się, rzecz można, najwrażliwszy punkt duszy naszej, a dusze, które zapomniały o swem istnieniu i wyrzekły się wzlotów, dotknięte

w tym punkcie, powstają z martwych. W boskiej dziedzinie tajemnej dobroci, najskromniejsza z dusz nawet nie zniesie klęski ostatecznej.

Nic się, być może, nie zmienia zasadniczo w życiu widzialnem, czyż jednak jest to rzecz główna? Czyż żyjemy wyłącznie jeno faktami, które można brać w rękę, jak kamienie przydrożne? Winniśmy zadawać sobie co wieczór pytanie: Cóż to nieśmiertelnego dokonałem dzisiaj? ale żaliż szukać tego mamy zawsze pośród rzeczy, które można liczyć, ważyć i mierzyć? Wycisnęliśmy może łzy niezwykle, napelnili czyjeś serce nową, nieznaną pewnością, lub przywrócili jakiejś duszy życie wieczne niepostrzeżenie dla ludzi i samych nawet siebie. Nic się, być może, nie zmienia i wszystko zawodzi podczas próby, a dobroć ta przenika pod wpływem najlżejszego strachu. Mniejsza z tem. Zaszło coś boskiego, a Bóg nasz uśmiechnął się zapewne kędyś, w niebiosach. Czyż nie jest najwyższym celem życia owo odradzanie w sobie rzeczy niewytłumaczalnych? Czyż wiemy co dodajemy do siebie, budząc potrosze to co niepoznawalne, a co drzemie w każdym zakątku? W tym przypadku zbudziliśmy miłość, która już nie zaśnie. Dusza, która patrzyła w naszą duszę i przelewała z nami święte, a niedostrzegalne łzy szczytnej radości, nie weźmie nam za złe tej udręki. Nie będzie nawet

potrzebowała przebaczać, bowiem nabrała takiej
jakieś pewności, że już nic nie zgasi ni zmaże nigdy
jej uśmiechu wewnętrznego, nic też nie zdoła rozłączyć
dwu dusz, które przez chwilę bodaj były „razem
dobre.“

GŁĘBIA ŻYCIA.



XII.

GŁĘBIA ŻYCIA.

Trzeba przypomnieć ludziom, że najskromniejszy z pośród nich „może wyrzeźbić wedle pierwotnego wzoru boskiego, którego nie wybierze, wielką osobowość moralną, złożoną po równych częściach ze siebie i ideału, oraz że takie życie jest najpełniejsze i najbardziej realne.“

Każdy stworzyć sobie może osobistą możliwość życia wyższego wśród skromnej i nieuniknionej rzeczywistości codziennej. Niema szlachetniejszego nad to celu życia. Różnimy się pomiędzy sobą stosunkiem swym do nieskończoności. Bohater jest wznioślejszy od nikczemnika, który obok niego kroczy, dlatego ponieważ w pewnym momencie życia miał on żywsze poczucie tego stosunku. Jeśli świat nie kończy się na człowieku, a otaczają nas istoty wyższe, niewidzialne, to wyższość ich polega na stosunkach z nieskończonością, o jakich my nie mamy wyobrażenia.

Posiadamy możność wzmożenia tych stosunków. Każdy miał dzień, w którym niebo rozwarło mu się samo i zawsze niemal stanowi on datę narodzin jego prawdziwej osobowości duchowej. W tej to właśnie chwili kształtuje się nasze niewidzialne i wieczyste oblicze, które ukazujemy aniołom i duszom. Zazwyczaj niebo rozwiera się ludziom przypadkiem tylko. Nie dobierają sobie oni twarzy, po której ich rozpoznają aniołowie i nie umieją wyszlachetnić, oraz oczyścić swych rysów. Zrodziła ich jedna radość, jeden smutek, jedno przerażenie, lub jedna myśl przypadkowa.

Rodzimy się w rzeczywistości w dniu, kiedy odczujemy poraz pierwszy głęboko, że jest w życiu coś ważnego, a dziwnego. Jeden spostrzega nagle, że nie jest sam jeden na świecie. Drugi dając pocałunek, lub płacząc, uczuwa niespodzianie, że „źródło wszystkiego co najlepsze i święte, począwszy od wszechświata, aż do Boga skryte jest w ciemni pełnej niezmiernie odległych gwiazd.“ Trzeci dostrzega rękę bożą, tkwiącą pomiędzy jego radością, a nieszczęściem, lub przekonywa się, że zmarli mają słuszość. Inni znowu uczuwają liłość, podziw, czy strach. Zazwyczaj starczy drobiazg, słowo, gest, czy zwid, nie będący nawet myślą.

— Dawniej kochałem cię jak brata, dziś cześć

cię jak duszę moją! — powiada jeden z bohaterów Szekspira, podziwiając posąg.

W tej chwili narodził się prawdopodobnie człowiek.

Możemy w ten sposób nieraz przychodzić na świat, a zawsze zbliżamy się potrosze do Boga. Zazwyczaj jednakże czekamy momentu świetlnego, któryby przelśnił ciemności i rozjaśnił nas bez naszego współudziału. Czekamy szczęśliwej okoliczności, kiedy oczy mamy przypadkowo otwarte w chwili, gdy się dzieje coś nadzwyczajnego. Wszystko atoli co się zdarza, promieniuje własne światło, a wielcy ludzie zostali wielkimi dlatego, że dostrzegali każde światło. Czyż trzeba, by matka zmarła komuś w ramionach, dzieci potonęły, lub on sam otarł się o śmierć, by wreszcie spostrzegł, że żyje w świecie zgoła niezrozumiałym, wraz z niewidzialnym Bogiem i tworam i jego? Czyż ma się któremuś z nas utopić w morzu kochanka, byśmy poznali na chwilę, że miłość sięga poza nieostrzegalne niemal światło Miry, Atairu i Włosów Bereniki? Mając rozwarte oczy pojęlibyśmy to w pocałunku co spostrzegamy w katastrofie. Czyż ból dopiero musi budzić ukłuciami lancy wspomnienia boskie, drzemiące w nas? Mędrzec wtrąśnień tych nie potrzebuje. Widzi łzę, gest dziewczyny, spadającą kroplę wody, chwytą w przelocie

myśl, ściska dłoń brata, czy składa pocałunek, a ma ciągle otwarte oczy i duszę. Spostrzega zawsze wszystko, co nam błysło na moment tylko, a uśmiech mówi mu to, czego nas uczyć musiała burza, lub śmierć.

Czemże jest bowiem w gruncie to, co zwiemy mądrością, cnotą, bohaterstwem, godziną rozkoszy, czy wielką chwilą życia, jeśli nie momentem, kiedy wychodzimy mniej, czy więcej ze siebie, przystając na krótko bodaj u drzwi wiekuistości i kiedy spostrzegamy, że nie zapada w nicość najslabszy okrzyk, najbledsza myśl i gest najslabszy nawet. A jeśli nawet zapadają, to wstrząs ten niezmierny przepoić może dostojeństwem całe życie nasze. Czekamy, by niebo rozwarły gromy, a winniśmy śledzić szczęsne chwile, kiedy się to dzieje cicho. Niebo rozwiera ciągle swe podwoje. Szukamy Boga w życiu i twierdzimy, że go niema. Wszakże życie każdego z nas ma mnóstwo chwil przypominających dramat, w którym wszyscy oczekują interwencji boskiej i nie widzą jej. Dopiero myśl wstrząsająca sumieniem umierającego jawi się nagle, a starzec woła, łkając z radości i przerażenia: Jest Bóg! Patrzcież, jest Bóg!

Zawsze nam trzeba zwracać uwagę i padamy na kolana dopiero wówczas, kiedy nam ktoś powie, że Bóg idzie. Gdy kochamy prawdziwie, nie

potrzeba nam nikogo dla objaśnienia, że dusza nasza jest czymś tak wielkiem jak światy, gwiazdy, że wszystko trwa wiecznie, a nie zaczyna się dopiero u progu pozorów, że usta które całujemy, to usta istoty wyższej, piękniejszej i czystszej niżli ta, którą obejmujemy w ramiona. Widzimy więc teraz to, czego nie dostrzegamy w życiu, nie będąc upojeni. Czyż jednak nie można ciągle żyć tak, jakby się kochało? Bohaterowie i święci tak czynili. Ach, tracimy zbyt wiele czasu w życiu na czekanie, podobnie jak ci ślepcy z legendy, którzy odbyli długą podróż, by usłyszeć głos Boga. Usiedli na schodach świątyni i czekali. Ktoś ich spytał, co robią przed świątynią. — Czekamy! — odrzekli smutnie — Ale Bóg nie rzekł dotąd ni słowa! — Nie wiedzieli, że spiżowe drzwi świątyni są zamknięte, a cały budynek rozbrzmiewa głosem Boga.

Nasz Bóg przemawia ciągle, nikomu jednak nie przyjdzie na myśl otworzyć drzwi. Gdybyśmy pilnie baczyli, w każdym czynie własnym i fakcie odnaleźlibyśmy słowa boże.

Żyjemy wszyscy pośród cudów i niema pozbawionego ich miejsca na ziemi. Nie brak nam sposobności, by żyć w niebie, tylko uwagi, skupienia i także upojenia duszy. Bóg mieszka z nami w najmniejszym pokoiku i możemy tam wieść żywot dostojny. Mylimy się wyrzekając na samotność,

jednostajność, brak miłości. Wszakże nie można być osamotnionym, miłość ma ten, kto ją widzi i kto jej chce, a czyż przeżycia waży się jak złoto i srebro okupu? Każda myśl żywa, choćby była nikła, czy biedna, jeśli tylko płynie z duszy, jest dostojna i szczytna. Wszakże podniosłe pragnienie, czy nawet chwila skupionej uwagi zmieszczą się w najmniejszej izdebce. A jeśli nie kochamy, lub nie jesteśmy kochani, możemy zato przy pewnym wysiłku spostrzec piękno wielu rzeczy, wielkość duszy i powagę nieogarniętą życia. Czyż nie jest to równie cenne, jak miłość? Jeśli nawet niebo jest dla nas zamknięte, to wszakże, jak mówi poeta, „wielkie niebo gwiazdziste obejmuje duszę naszą wbrew wszystkiemu, w postaci śmierci.“

Wszystko co przeżywamy, jest bosko wzniosłe i znajdujemy się zawsze w samym środku wszechświata. Trzeba tylko nauczyć się żyć jak nowonarodzony anioł, kochająca kobieta lub umierający człowiek. Czyż spoglądalibyśmy na ludzi i rzeczy tak, jak zawsze, wiedząc że dziś umrzemy, lub oddalimy się od nich na zawsze. Ukochalibyśmy je pewnie, jak nigdy do tej pory. Zapomnielibyśmy złych stron dla dobrych, dostrzeglibyśmy piękno, miast brzydoty, a doznane nawet przykrości stałyby się powodem umiłowania i łez. Sposobność przebaczenia łagodzi ból rozłąki a nawet śmierci,

powiedział pewien mędrzec. Czyżbyśmy ostatecznie, dozwolone nam jeszcze kroki skierowali ku fałszowi, czy ku prawdzie w onej godzinie smutku, lub śmierci?

Żali mają słuszność żywi, czy umierający? Ach, szczęśliwi są zaprawdę ci, którzy myśleli, mówili i działali w ten sposób, że pochwaleni zostaną przez skazanych na śmierć, lub dotkniętych wielkiem cierpieniem, a przeto jasnowidzących. Niema nagrody większej dla mędrca, którego nikt za życia nie chciał słuchać. Zbądźmy niepokoju jeśliśmy żyli pięknie, a w cieniu. Godzina sprawiedliwości wybić musi w sercu każdego, a nie-szczęście otwiera oczy zawsze dotąd zamknięte. Któż wie, czy w tej chwili któryś z nas nie przepływa teraz przez duszę umierającego jako cień tego, który już zna prawdę? Może właśnie na łożu konającego spoczywa prawdziwy i nad wszystko cenny wieniec mędrca, bohatera, czy tych, którzy umieli żyć w powadze, dostojeństwie, czystości i cichym smutku, jak każe dusza.

— Śmierć — powiedział Lavater — upiększa nasz kształt doczesny, a myśl o śmierci nadaje życiu piękniejszą postać.

Taksamo każda myśl o nieskończoności upiększa, jak śmierć, życie. Nie popełnijmyż jednak omyłki. Każdy człowiek ma piękne myśli, pły-

nące przez jego serce, niby białe ptaki. Niestety, nic nam z nich. Są to przybysze obcy, którym się dziwujemy i odpędzamy z niechęcią, tak że nie mogą osiągnąć samego życia naszego. Chcąc by dusza stała się poważną, i mądrą, jak dusza anioła, nie dość spostrzec na chwilę wszechświat w cieniu śmierci, czy wieczności, w świetle radości, czy płomieniach piękna i miłości. Każdy człowiek przeżył momenty, które pozostawiły garstkę nieużytecznego popiołu. Nie starczy tu przypadek, potrzeba nawyku. Trzeba się nauczyć żyć stale w pięknie i powadze. Istoty najniższe wiedzą doskonale jakichby się należało jąć rzeczy szlachetnych i pięknych, ale rzeczy te nie tkwią w nich dostatecznie silnie. Winniśmy z góry utrwalić w sobie siłę niewidzialną, abstrakcyjną i zwiększać ją. Osięgnie to jeno ten, kto nawykł częściej niż inni siadywać na szczytach, gdzie życie dosięga duszy i skąd widać, że każdy czyn i myśl wiąże się niezmiennie z czemś wzniosłym i nieśmiertelnym.

Patrzmyż na ludzi i rzeczy tak, jak chce tego nasz wzrok wewnętrzny, nie zapominając jednak, że cień, jaki rzucają przelotnie na wzgórze, czy mur, to jeno nikły obraz cienia potężniejszego, podobnego skrzydłu nieśmiertelnego łabędzia, które słońce każdą duszę do naszej duszy zbliżoną. Nie sądźmy, że myśli takie to jeno przyozdoba pozbawiona

wszelakiego wpływu na życie snujących je. Ważniejszym jest zrozumieć swe życie, niżli je zmienić, bowiem zmienia się samo z chwilą gdy zostało dostrzeżone. Myśli, o których mówię, tworzą skarb tajny bohaterstwa, a kiedy życie zmusza nas otworzyć go, spostrzegamy tam ze zdumieniem te jeno siły, które nas prą ku doskonałemu pięknu. Nie trzeba już teraz by umarł naprzykład wielki król, a fakt ten przypomni nam, że „śmierć nie staje u drzwi domostw.“ Rzecz najdrobniejsza nawet czyni szlachetniejszą duszę naszą każdego wieczoru.

Bez przypominania o wielkości Boga poruszamy się w światłości jego i wiemy, że żyć będziemy w pięknie i głębi płodnej, będących dziedziną bohaterów. Będziemy mogli zapamiętać rankiem i wieczorem, iż dłonie niewidzialnych mocy są jak namiot o niezliczonych fałdach ponad głową naszą, mimo że nie dostrzeżemy najlżejszego gestu tych rąk. Trzeba być skutecznie bacznym i lepiej czuwać na placu publicznym, niż drzemać w świątyni. Piękno i dostojność tkwią wszędzie i byle niespodziana okoliczność ukazuje nam je. Wiemy to niemal wszyscy, ale dopiero cios życia, czy śmierci budzi nas i sprawia, że krążymy wokół murów bytu, chcąc dostrzec przez szczeliny Boga. Nie wiemy, że istnieją

szczeliny takie w ścianach najlichszej chatki, a przez najmniejsze szybki widać cały bezkres przestrzeni niebiosów. Nie dość atoli posiadać prawdę, musi nas posiadać ona.

Żyjemy przecież w świecie, gdzie najdrobniejsze wydarzenie mieści w sobie piękno przeczyste i coraz to szczytniejsze. Ziemia i niebo mieszają się ze sobą bez trudu, a jeśli spojrzysz na gwiazdy przed daniem pocałunku kochance, ucałujesz ją inaczej, niż gdybyś wpierw spojrział na ścianę swego pokoju. Każdy z nas może być pewny, że w dniu, kiedy spojrział na promień światła, poprzez którąś szczelinę życia widoczny, uczynił coś równie wielkiego, jak gdyby opatrzył ranę nieprzyjaciela, gdyż w tej chwili nie miał nieprzyjaciół.

Trzeba ciągle szukać Boga, gdyż kryje się, ale gdy poznamy raz jego wybiegi, wydadzą nam się proste i naiwne. Wówczas byle drobiazg ujawni nam obecność jego i przekonamy się jak łatwo osiągnąć dostojność życia. Odnajdujemy tak w dziełach poetów tu i owdzie wiersz, dotyczący najprostszych zdarzeń życia, a rozwiera się nagle przed nami bezkres przedziwny. Nie padło słowo uroczyste, ni zawołanie żadne, a jednak jakieś niewysłowione oblicze dało nam znak poprzez łzy starca, uśmiech śpiącego dziecka zaludnił przestrzeń aniołami, a bylesłowo wyrzeczone przez duszę,

co śpiewa, pracując nad czemś obojętnem prze-
poilo nas wiarą, że „tu jest oto dom boży i jedna
z bram nieba.“

Dzieje się to dlatego, że poeci baczą pilniej, niż
my na „cień nieskończony.“ Stanowi to w za-
sadzie poezję najwyższą, której celem jest „pil-
nowanie na ścieżaj rozwartych dróg wiodących od
tego co widzialne, do rzeczy niedostrzegalnych.“
Jest to zarazem istotnym celem życia i łatwiej go
ziścić w samym życiu, niż w najszczytniejszych
poematach, bowiem poematy wyrzec się muszą
dwu wielkich skrzydeł milczenia. Niema dni ma-
łych. Trzeba, by idea ta zstąpiła w nas i przybrała
ciało. Smutek jest niepotrzebny zgola. Drobne
radości, przelotne uśmiechy, czy głębokie łzy,
wszystko to zajmuje takisam punkt przestrzeni
i czasu. Możemy igrać w życiu równie niewinnie,
jak „dziecko u łoża śmierci,“ a łzy nie są wcale nie-
zbędne. Uśmiech, otwiera na równi z płaczem
bramę innego świata. Chodząc, wracając i wy-
chodząc ponownie, znajdziemy zawsze w ciemni to
czego nam potrzeba, o ile nie zapomnimy, że je-
steśmy blisko bram.

*

Po tej długiej dygresji wracam do punktu wyj-
ścia, mianowicie do tezy, że „należy ciągle przy-
pominać ludziom, iż najskromniejszy z nich może

wyrzeźbić z siebie, wedle modelu boskiego, który mu jest dany, wielką osobowość moralną, złożoną w równych częściach z niego samego i ideału.“ Ta „wielka osobowość moralna rzeźbioną bywa zawsze w głębinach życia, a zasób potrzebnego ideału zwiększa się jedynie przez nieustanne objawienia boże.“

Każdy człowiek może osiągnąć w duchu szczyt życia cnotliwego, wiedząc jednocześnie, co czynićby mu należało dla zostania bohaterem, lub świętym. Nie jest to jednak rzecz najważniejsza. Trzebaby przemienić otaczającą nas atmosferę duchową tak, by stała się podobna do powietrza krain złotego wieku Swedenborga, które tamuje w ustach słowo kłamliwe. Wówczas najdrobniejsze zamierzone zło spadnie nam u stóp, jak ołowiana kula, odbita o puklerz z brązu, a wszystko stanie się bezwiednie pięknem, miłością i prawdą.

Ale atmosfera ta otacza tych jeno, którzy nawykli przewietrzać często życie swoje, uchylając drzwi innego świata. U drzwi tych jeno widać coś i coś kochać można naprawdę. Kochać bliźniego nie znaczy to jeno oddawać mu się, służyć, pomagać i wspierać. Przy całym tem poświęceniu można nie być dobrym, pięknym, ni szlachetnym, a zakonnicą umierającą u łoża dotkniętego tyfusem może mieć duszę zawistną, małostkową i nikczemną.

Kochać bliźniego naprawdę, znaczy miłować to co jest w nim nieśmiertelne. Bliźni w istocie swej, jest to to, co najbliższe Boga, i co najczystsze i najlepsze w człowieku i tylko trzymając się w pobliżu bramy, o której mówiłem, odkryć potrafimy pierwiastek boży w duszach. Wówczas będziemy mogli rzecz wraz z wielkim Jean Paulem:

— Gdy chcę ukochać prawdziwie drogą mi osobę i przebaczyć jej wszystko, wystarczy pa-trzeć na nią przez chwilę w milczeniu.

Uczmy się patrzeć, by pojąć sztukę kochania.

— Żyłem przez lat dwadzieścia ze siostrą swoją — powiedział mi raz jeden z przyjaciół — a ujrza-łem ją dopiero w chwili śmierci matki naszej.

I tu trzeba było dopiero, by śmierć rozwarła gwałtownie bramę wieczności dla dostrzeżenia się w promieniu owego praświatła dwu dusz bliskich. Niema, zaprawdę, wśród nas nikogo, kogoby nie otaczały takie siostry niedostrzeżone.

Na szczęście w tych nawet, którzy widzą naj-mniej, istnieje coś co działa w ten sposób, jakby widzieli. Być dobrym, znaczy to może tylko, po-ruszać się w odrobinie światła, podczas gdy inni kroczą ciemnią. Stąd to konieczność dźwigania życia na wyże i szczyty, gdzie niepodobna już źle czynić. Dlatego też dobrze jest przyuczać oczy do oglądania zdarzeń i ludzi w atmosferze boskości.

Nie jest i to jednak niezbędne, bowiem jakże małą stanowi różnicę w oczach Boga? W świecie naszym prawda tkwi na dnie wszystkiego i nie ją to, ale kłamstwo tłumaczyć trzeba. Nie gardźmyż sobą, jeśli osmuca nas szczęście braci naszych, niedługo bowiem odnajdziemy w sobie coś, co nie ulega osmuceniu, a jeśli nawet nie odnajdziemy, wiemy że coś takiego istnieje niezawodnie.

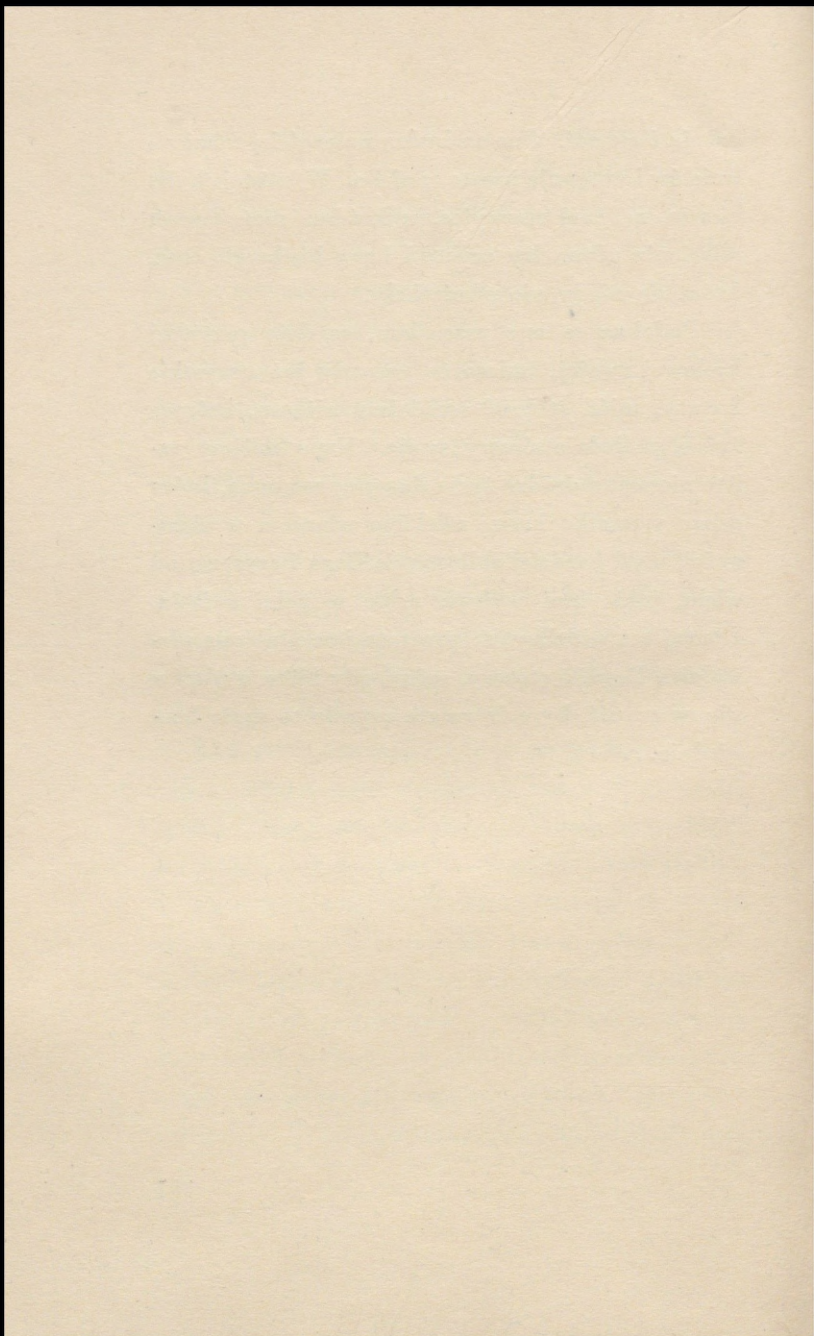
Nie myślący o niczem, posiadają tę samą prawdę co myślący o Bogu, jest ona tylko nieco dalej od progu.

— Nawet w najpospolitszem życiu — powiada Renan — czyni się niezmiernie dużo dla Boga. Człowiek najmarniejszy woli być dobrym, niż złym, modlimy się i oddajemy adoracji dużo razy przez dzień, nie wiedząc o tem wcale.

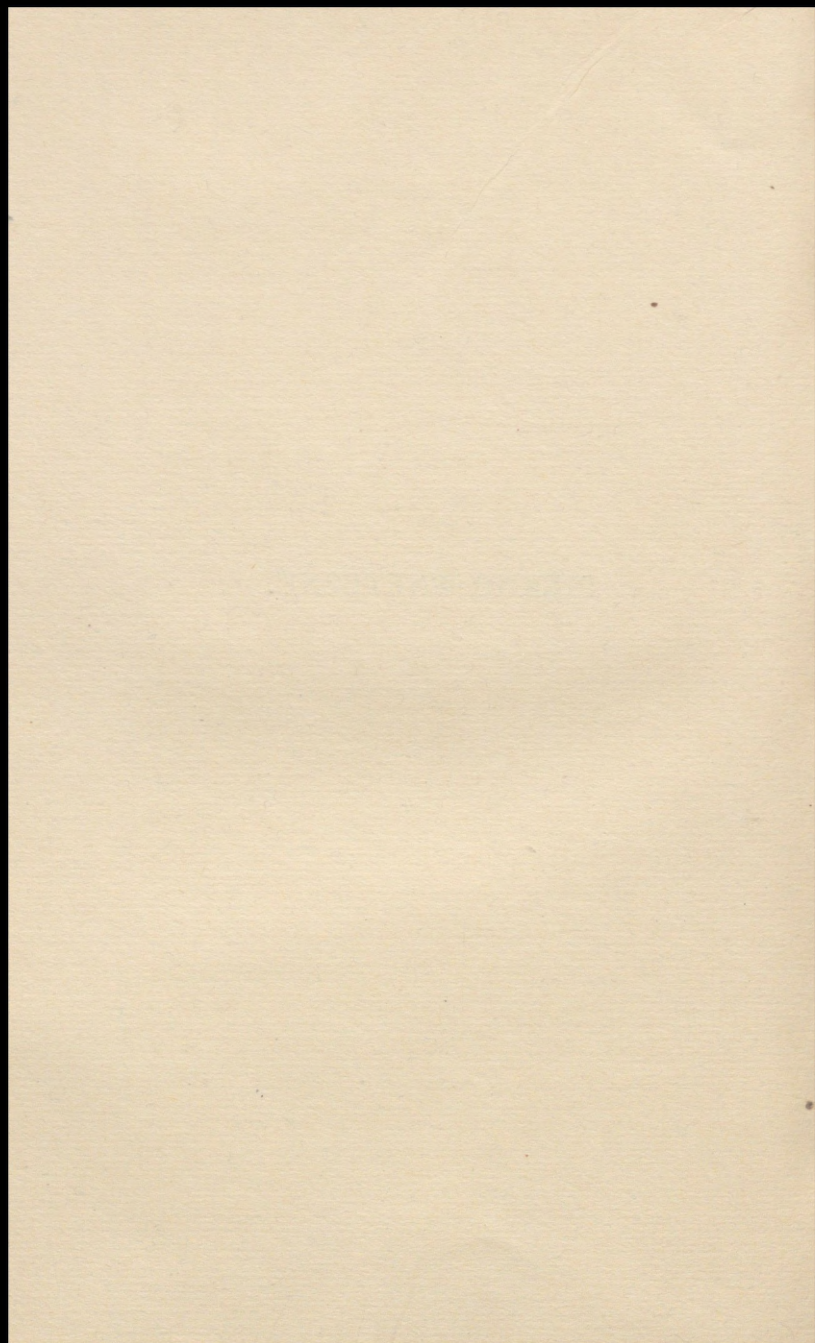
Zdziwienie nas ogarnia, gdy niespodziany przypadek objawi nam doniosłość tej boskiej części życia. Otacza nas mnóstwo biednych istot, które przez cały ciąg bytowania swego nie znały piękna. Żyją w ciemni, a nikt na nie nie zwraca uwagi. W tem nagle pewnego dnia zwykłe słowo, niespodziany moment milczenia, lub łza wytryskająca z samego źródła piękna poucza nas, że zdołali oni w cieniach dusz swoich wybudować ideał tysiąckrotnie szczytniejszy od wszystkiego co widziały ich oczy i słyszały uszy. O jakże szlachetne są blade ideały mil-

czenia i ciemni. One to budzą najczęściej uśmiech aniołów i wstępują prosto w niebo. W każdej chyba chacie, nędznej stancyjce, w każdym może nawet więzieniu płyną łyzy czyste i krew biednych dusz, które się nigdy nie uśmiechały.

Podobne są one pszczołom, co dają przyszłej królowej swojej, mimo że pomarły już wszystkie kwiaty, miód stokroć cenniejszy niż ten, którym żywią poślednie siostry swoje. Napotkaliśmy zaiste nieraz na drodze życia duszę opuszczoną, która mimo wszystko karmi mlekiem własnem w ciemności, myśl bardziej zbliżoną do Boga i czystsza od wielu, jakie inni wybrali sobie w pełni światła. I tutaj też widzimy, że prostota jest ulubioną niewolnicą Boga, a starczy, sądzę, gdy kilku mędrców wie co czynić, by cała reszta czyniła to samo bezwiednie...



PIĘKNO WNETRZNE.



XIII.

PIĘKNO WNĘTRZNE.

Niema w świecie nic chciwszego piękna nad duszę, nie też nie upiększa się tak łatwo. Nic tak nie wznosi się samo przez się, ni wyszlachetnia szybciej. Nic nie pełni staranniej rozkazów czystych i szlachetnych, jakie otrzymuje, oraz nie daje posłuchu myśli szczytniejszej nad inne. Stąd też trudno znaleźć duszę opierającą się władzy duszy innej, wyposażonej pięknem.

Piękno jest, rzecz można jedyną pożywką duszy naszej, szuka go ona wszędzie, a nie ginie z głodu w najprzrzyemniejszym nawet życiu. Toteż żadne piękno nie przemija niedostrzeżone. Tkwi ono często w nieświadomości, działa jednak równie potężnie nocą, jak za dnia. Daje jeno mniej uchwytną radość i to stanowi jedyną różnicę. Popatrzmy na ludzi najpospolitszych w chwili gdy promyk piękna muśnie ich ciemń. Ile razy są gdziekolwiek razem, zamykają coprędzej wrota

życia. Każdy z nich atoli, będąc sam, żył nieraz wedle duszy swojej. Kochał może, a cierpiał niewątpliwie. Słyszał napewne „oddźwięki dalekiej krainy wspaniałości i grozy,“ a korzył się też o wieczorze, w milczeniu przed prawami głębszemi niż ocean. Będąc jednak razem, odurzają się chętnie rzeczami marnemi. Czują jakiś dziwny lęk przed pięknem i uczucie to wzrasta wraz z liczbą obecnych. Podobnie też boją się milczenia i zbyt czystej prawdy. Jest to tak dalece pewne, że gdyby któryś z nich dokonał w ciągu dnia czynu bohaterckiego, usiłowałby mu, będąc w towarzystwie, przypisać pobudki niskie, zaczerpnięte ze wspólnego środowiska. Lecz oto nagle padło słowo szczytne, dumne i rozwarło potrosze dostęp do źródeł życia. Jakaś dusza nabrała odwagi pokazania się taką jaką bywa w miłości, bólu, w obliczu śmierci, w samotni, lub wobec gwiazd nocnych. Wszyscy się niepokoją, dziwią i uśmiechają. W takiej jednak chwili wszystkie dusze ogarnia jednomyślny nieprzeparty podziw, a najsłabsza pochwała bezgłośnie owo słowo, dolatające do więzienia, które uznała podobnem do siebie.

Dusze odżywają nagle w swej pierwotnej, swoistej atmosferze, a gdybyśmy mieli słuch aniołów, dosłyszeliśmy szelest oklasków ich skrzydeł, dochodzący z osiedla światłości, gdzie żyją. Gdy-

by podobne słowo padło każdego wieczora, ręczę, że najtrwoźniejsze duszeabrałyby śmiałości i ludzie żyliby bardziej naturalnie. Nie trzeba nawet takiego słowa. To coś, co doszło z głębi, pozostawi niezatarte ślady. Dusza, która raz przemówiła, zostanie co wieczór uznana przez siostry swoje, a sama jej obecność napelni dostojeństwem najpowszedniejszą rozmowę. Zaszła przedziwna zmiana. Sprawy niskie utraciły już swą przewagę, a przerażone dusze wiedzą, że istnieje gdzieś schronisko.

Nie ulega wątpliwości, że owe relacje bezpośrednie dusz, są związkami piękna, bowiem stanowią one język dusz naszych, które nie rozumieją innej mowy, nie znają innego życia, nie tworzą nic innego i nie interesują się czem innym. Dlatego to raduje każda piękna myśl, słowo i czyn najbardziej uciśniętą i najmarniejszą nawet duszę, o ile wolno mówić o marnych duszach wogóle. Nie posiada ona organu łączącego ją z innym pierwiastkiem życia, a wydaje sądy jeno wedle prawideł piękna.

Spostrzegają to nieustannie ci, którzy zaparli się piękna, równie dobrze jak ci, którzy go nieustannie szukają w sercu swoim. Żaliż, czując gwałtowną potrzebę drugiego człowieka pójdziemy do tego, który powitał szyderczym uśmiechem

mijające go piękno? Czyż zwrócimy się do tego, które skalał wstrząśnieniem głowy czyn szlachetny, lub czysty zamiar? Godziliśmy się z nim nawet może kiedyś, w tej jednak chwili ważnej, kiedy prawda stuka do drzwi naszych, zwrócimy się do tego, który uczcił i pokochał piękno. Dusza wydała sąd głęboki, cichy, a nieomylny i on to, po latach trzydziestu wypłynie na powierzchnię, kierując nas ku istocie bratniej, a nawet wyższej, gdyż bardziej od nas zbliżyła się do piękna.

Nie wiele trzeba, by dodać odwagi pięknu w duszy naszej, małego dość wysiłku, by zbudzić zaśnione anioły. Nie trzeba ich nawet budzić, ale jeno nie dać im zasnąć. Trudną jest właściwie rzeczą zstępować, nie wzlatać. Zaprawdę, nie łatwa to rzecz myśleć o rzeczach marnych, patrząc na morze lub dumając nocą. Któraż zaś z dusz nie wie, że jest ciągle nad morzem i w obliczu nocy wieczystej?

Gdybyśmy się mniej bali piękna, uznalibyśmy je za jedyną rzeczywistość, gdyż tak jest w istocie. Wiedzą o tem dusze i są gotowe, każda jednak kryje piękno swoje. A przecież któraś musi „zacząć.“ Czemuż nie być właśnie tą pierwszą? Wszystkie cisną się ku progowi cudownego pałacu, jak rozciekawione dzieci szepcą, zazierają przez szpary, ale żadna nie śmie odewrzeć drzwi. Cze-

kają jak dzieci, by nadeszła osoba dorosła, ale osoba dorosła nie przekracza nigdy niemal progu.

Czegóżby jednak trzeba, by zostać tą oczekiwaną, dorosłą osobą? Zgoła nie wiele. Dusze są skromne w wymaganiach. Każda piękna myśl, niewysłowiona nawet rozświecła nas, niby wazę przejrzystą. Dusze widzą to i przyjmą nas zgoła inaczej, niż gdybyśmy n. p. oszukali któregoś z bliźnich naszych. Dziwimy się gdy nam ktoś mówi, że nie napotkał nigdy prawdziwej brzydoty i nie wie też co znaczy nikczemność duszy. Nic w tem dziwnego, ludzie ci „zaczęli“ już bowiem i niby latarnie morskie wabiące okręty, zgromadzili wokół siebie wszystko co piękne z całego widnokręgu.

Niektórzy uskarżają się n. p. na kobiety, ząpominając, że starczy jednego słowa, czy myśli negującej piękno, by raz na zawsze zatruć ich istnienie, w duszach kobiet.

— Nie spotykałem kobiety, — rzekł mi raz pewien mędrzec — któraby mi nie dała czegoś wielkiego.

Sam był wielki i to stanowiło całą tajemnicę. Jednego tylko nie przebaczy dusza, a mianowicie przymusu obcowania z brzydkim czynem, czy myślą. Nie może przebaczyć, bo musiałaby się zaprzeć siebie. A jednak dla większości ludzi,

genjusz, siła i zręczność są to rzeczy równoznaczne z usunięciem od życia duszy swojej i starannem unikaniem wszelkich, zbyt głębokich zamierzeń. Czynią tak i z miłością, a przeto kobieta, bliższa zawsze prawdy, nie spędza z nimi chwili życia rzeczywistego. Boimy się, rzec można, osiągnąć własnej duszy i trzymamy ją zdala od piękna swoistego. A trzebaby ją doganiać ciągle. Jeśli pomyślimy, lub powiemy coś co jest zbyt piękne, by mogło być prawdziwem odnośnie do nas, stanie się ono prawdą jutro, jeśli spróbujemy pomyśleć lub wypowiedzieć je dziś wieczór. Starajmy się być piękniejszymi od samych siebie, bez obawy prześcignięcia własnej duszy. Niema omyłki, gdzie idzie o piękno milczące i ukryte. Mniejsza zresztą o pomyłkę, jeśli tylko czystem jest źródło wewnętrzne. Któż z nas uczyni najmniejszy wysiłek w rzeczy, której nie widać? A jednak znajdujemy się na terenie, gdzie wszystko byłoby skuteczne, gdyż wszystko czeka. Otwarte są wszelkie drzwi, starczy pchnąć je jeno, by wejść do pałacu pełnego okutych w kajdany królewien. Dość czasem słowa, by rozwiać całe góry śmieci. Czemuż nam brak odwagi, by przeciwstawić nikczemnemu pytaniu szlachetnej odpowiedzi? Nie sądźmy, że przebrzmi bez echa, lub jeno zdziwienie wzbudzi. Jest to bardzo zbliżone do dialogu dusz, nie wiemy

czy pobudza, czy oswobadza, ale ten nawet, kto odrzuci odpowiedź taką, czyni bezwiednie krok ku własnemu pięknu. Rzecz piękna nie ginie, nie oczyszczając czegoś, a piękno nie znika, siejmy je przeto bez obawy po wszystkich drogach. Nasiona leżeć będą tygodniami, czy latami, ale niespożyte jak djamenty, zatrzymają lśnieniem kogoś, kto je podejmie i ruszy dalej uszczęśliwiony. Nie powstrzymujmy w sobie pięknego i wzniosłego słowa w obawie, że go inni nie zrozumią. Na cóż narażać na szwank przejaw dobroci wyższej z obawy, że nikt zeń nie skorzysta? Na cóż tamować wzlot instynktowny duszy, z uwagi iż żyjemy pośród ludzi przyziemnych? Żaliż głębokie uczucie zatracą dzielność swą pośród ciemni? Żaliż ślepiec nie zna prócz oczu, innych sposobów odróżnienia przyjaciół od wrogów? Czyż dobroć musi być zrozumiana, by istnieć? Każdy człowiek, ręczę, rozumie znacznie więcej, niż mu się zdaje.

— Najnikczemniejszym nawet ludziom — wyznała mi istota najdostojniejsza, jaką widziałem na ziemi — najnikczemniejszym nawet nie śmiem dać w odpowiedzi słowa brzydkiego i niskiego.

Osoba ta miała, jak to nieraz widziałem, wpływ zgoła dziwny na dusze najciemniejsze, zamknięte w sobie, ślepe i buntownicze. Nikt wysłować nie zdoła potęgi duszy, która usiłuje żyć w atmosferze

piękna i jest czynnie piękna sama w sobie. I właśnie jakość owego, czynnego piękna czyni życie podłem, lub boskiem.

Gdybyśmy mogli sięgnąć w głąb samą, odkrylibyśmy może, iż potęga kilku dusz pięknych podtrzymuje w życiu całe mnóstwo innych. To co myślimy o kilku istotach wybranych jest wszakże jedyną moralnością żywą i skuteczną.

Nie wiadomo co tu jest częścią duszy wybierającej, a co wybranej, miesza się to bowiem tajemniczo, ale owa moralność idealna sięga głębi niedostępnych najpiękniejszym książkom. Nie sposób zakreślić granic tych wpływów wzajemnych i ustalić tego źródła siły, z którego pijemy po kilka razy w ciągu dnia. Żaliż rozczarowanie, odnośnie do jednej z tych istot doskonałych, które kochaliśmy na wyżu piękna, nie zmniejsza odrazu wiary w dostojeństwo świata i nie podkopuje podziwu dlań?

Nie natomiast nie upiększa duszy tak swoiście i naturalnie, jak pewność, że żyje gdzieś w pobliżu niej istota czysta i piękna, którą kochać może bez myśli ubocznych. Gdy się zbliży do takiej istoty, piękno przestaje być dziwowiskiem martwym na pokaz przejezdnym, a nabiera siły żywej i aktywności przyrodzonej, a nieodpornej. Dlatego to nie

jesteśmy sami i trzeba koniecznie, by czuwali dobrzy.

W ósmej księdze, piątej Enneady Plotyna, znajduje się ustęp o piękności poznawalnej, czyli boskiej, temi zakończony słowy:

— Jesteśmy piękni sami w sobie jeśli posiadamy się, a brzydzy, kiedy ulegamy komuś niższemu. Stajemy się też piękni, nabierając świadomości, a brzydniejemy wraz z jej utratą.

Nie zapominajmyż atoli, że idzie tu o wyż, na którym utrata świadomości nie znaczy tyle jeno co brak poznania naszych przeżyć w chwili miłości, zazdrości, strachu, szczęścia, czy nieszczęścia. Na tem miejscu zatracić świadomość, znaczy, nie wiedzieć nic o sprawach boskich, zachodzących w człowieku. Brzydniejemy wraz z oddaleniem się od bogów w nas żyjących, a nabieramy piękności, poznawając ich. Atoli boskość innych odkryć ujrzymy jeno, pokazując im boskość własną. Jeden z bogów musi dać znak drugiemu, a są one trudno dostrzegalne. Powtarzać ciągle trzeba, że przez najmniejszą szczelinę spłynąć mogą na duszę wody niebiosów. W stronę nieznanego źródła skierowane są wszystkie czary, gdyż żyjemy w krainie marzenia o pięknie. Gdyby można spytać anioła co czynią dusze nasze w ciemku, patrzyłby całe może lata

tam gdzie nie sięga spojrzenie człowieka i odparł by potem:

— Zmieniają w piękno każdy otrzymany drobiazg.

Przyznać trzeba, że dusza ludzka posiada przedziwną odwagę. Pracuje przez całą noc w ciemności, gdzie ją wpędzamy najczęściej, nic do niej nie mówiąc. Robi tam co może, nie żaląc się i szuka w rzucanych sobie kamykach iskerek światłości wiekuistej, jaką zawierać mogą. Pracuje wytrwale, czekając chwili, kiedy będzie mogła pokazać którejś z siostr bardziej kochanych, lub bliższych, nagromadzone cierpliwością skarby. Przez tysiące nieraz okresów bytu nie widzi żadnej z siostr, staje się niezmiernie trwożna i odchodzi, nie zdoławszy przyozdobić jednym choćby klejnotem skromnej korony swojej.

A mimo to czuwa nad wszystkim ukryta w niewidzialnych niebiosach swoich, ostrzega, kocha, podziwia, przyciąga i odpycha. Za każdym nowem wydarzeniem jawi się na powierzchni, czekając jeno chwili pograżenia, gdyż uchodzi za natrętną i szaloną. Błąka się jak Kasandra pośród Atrydów, mówiąc słowa, których prawda jest jeno ciemnością i których nikt nie słucha. Gdy podnosimy oczy, czeka promienia słońca, lub gwiazdy, by zeń zrobić myśl, czy chęć nieświadomą, bardzo czystą. Jeśli

zaś oczy nasze nic jej nie dadzą, przemieni rozczarowanie w coś niewysłowionego, co zachowa do śmierci. Gdy kochamy, upaja się światłem z poza zamkniętych drzwi. Pełna wiary pracuje dalej, a owo światło, padające przez szczeliny przemienia w dobroć, piękno i prawdę. Jeśli atoli żaden promyk do niej nie przeniknie (a ileż razy tak bywa) wraca do więzienia z żalem, który przeistoczy się może w prawdę wyższą, niedostępną nigdy, bowiem znajdujemy się w miejscu przemian niemożliwych do wysłowienia. To co przyszło na świat po tej stronie drzwi nie ginie, ale nie wchodzi w skład tamtego życia.

Wspomniałem, że dusza przemienia w piękno każdy otrzymany drobiazg. W gruncie rzeczy jest to nawet może jedyny cel jej bytu i cała działalność polega na gromadzeniu w nas skarbu piękna, którego opisać nie sposób. Wszystko zmieniłoby się w piękno, gdybyśmy jej nie przeszkadzali ciągle w pracy. Czyż bodaj zło n. p. nie nabiera wartości, gdy zeń dobędzie lśniący djament żalu? Czyż zbrodnie popełnione i wyciśnięte łzy nie przybierają z czasem w duszy postaci światła i miłości? Żaliż spojrzeliśmy kiedy w owo skryte w nas królestwo płomieni oczyszczenia? Doznaliśmy krzywdy wielkiej, czyn to był nikczemny i marny, my zaś płakaliśmy tej brzydoty. Atoli po kilku latach

widzimy we wspomnieniu tego czynu coś czystsze-
szego już nad myśl, jakąś niemożliwą do nazwania
siłą, różną zgoła od powszednich sił tego świata
i jakieś źródło „życia innego,“ z którego czerpać
można bez obawy wyczerpania aż do końca życia.
Nie pomagaliśmy wcale niestrudzonej pracownicy,
myśląc zgoła o czym innym, a czyn ów oczyszczał
się bezwiednie w ciszy naszej istoty, wzbogacając
cenne wody tego wielkiego zbiornika prawdy, czy
piękna, którego nie wzburzają myśli prawdziwe,
lub piękne, a który pozostaje na zawsze niedo-
stępny powiewom życia.

— Każde zdarzenie i fakt istnienia naszego —
powiada Emerson — wcześniej, czy później utraci
swą martwość i ciężar i ujrzymy zdumieni, że
wzlata z głębi ciała naszego w niebo.

Jest to prawdą większą jeszcze, niż sądził
Emerson, gdyż im głębiej zapuszczamy się w te
dziedziny, odkrywamy strefy bardziej boskie.

Nie wiemy czem jest owa cicha działalność dusz
otaczających nas. Wyrzekliśmy słowo czyste do
istoty, która go nie zrozumiała. Zapomnieliśmy
o tem, sądząc, że przepadło. Atoli pewnego dnia
słowo to jawi się w niesłychanem przeistoczeniu,
ukazując owoc zrodzony w ciemności, poczem
wszystko zapada z powrotem w milczenie. Prze-
konaliśmy się, że nic nie ginie w duszy i że naj-

mniejsza nawet ma swój moment światłości. To rzecz pewna, iż najnieszczęśliwsze nawet i najbiedniejsze posiadają w głębi skarb niewyczerpalny piękna. Nauczmy się tylko czerpać zeń. Piękno nie powinno być świętem jedynem w życiu, ale codzienną radością. Bez wielkiego wysiłku można zostać dopuszczonym do grona tych „w oczach których rozkwitła ziemia i niebo błyszczą stokroć większymi barwy.“ Mówię o kwiatach i niebiosach trwalszych, i czystszych niż te, które dostrzegamy. Istnieje mnóstwo dopływów, którymi piękno duszy naszej może dotrzeć do myśli. Główny, przedziwny kanał taki, to miłość.

W miłości tkwią najczystsze pierwiastki piękna, które dać możemy duszy. Są istoty kochające się tak w pięknie. Kochać tak, znaczy zatracać z wolna poczucie brzydoty, ślepnąć na drobiazgi, a dostrzegać jeno świeżość i dziewiczość dusz najskromniejszych. Taka miłość nie czuje już nawet potrzeby przebaczenia, ani ukrywania się z niczem, gdyż wiecznie czujna dusza wszystko przemienia w piękno. Miłość taka dostrzega zło poto jeno, by oczyścić pobłażanie i by przywyknąć do odróżnienia winowajcy od grzechu. Miłość taka podnosi wszystkich otaczających na wyże, gdzie nie mogą już upaść i skąd czyn niski musiałby lecieć tak gwałtownie, że w zderzeniu z ziemią ukazałby musiał po roz-

biciu swą djamentową duszę. Kochać tak, znaczy zmieniać bezwiednie w ruchy nieogarnięte najdrobniejsze drgania wkoło nas drzemiące, znaczy też wzywać na święto miłości w niebie i duszy wszystko co piękne na ziemi, znaczy trwać wobec drugiej istoty, takim jakim się trwa przed Bogiem i iść najmniejszym gestem obecność duszy swej i wszystkich jej skarbów.

Miłość taka dostrzega prawdę w szczęściu tak głęboko jak niektórzy bohaterowie dostrzegali ją przy świetle największego cierpienia. Miłość taka nie widzi już przemiany piękna w kochanie, ni przeciwnego przeistoczenia. Zatracamy tu już świadomość, gdzie się kończy promień gwiazdy, a zaczyna pocałunek wspólnej myśli i zbliżamy się tak do Boga, że obejmują nas uściskiem anioły.

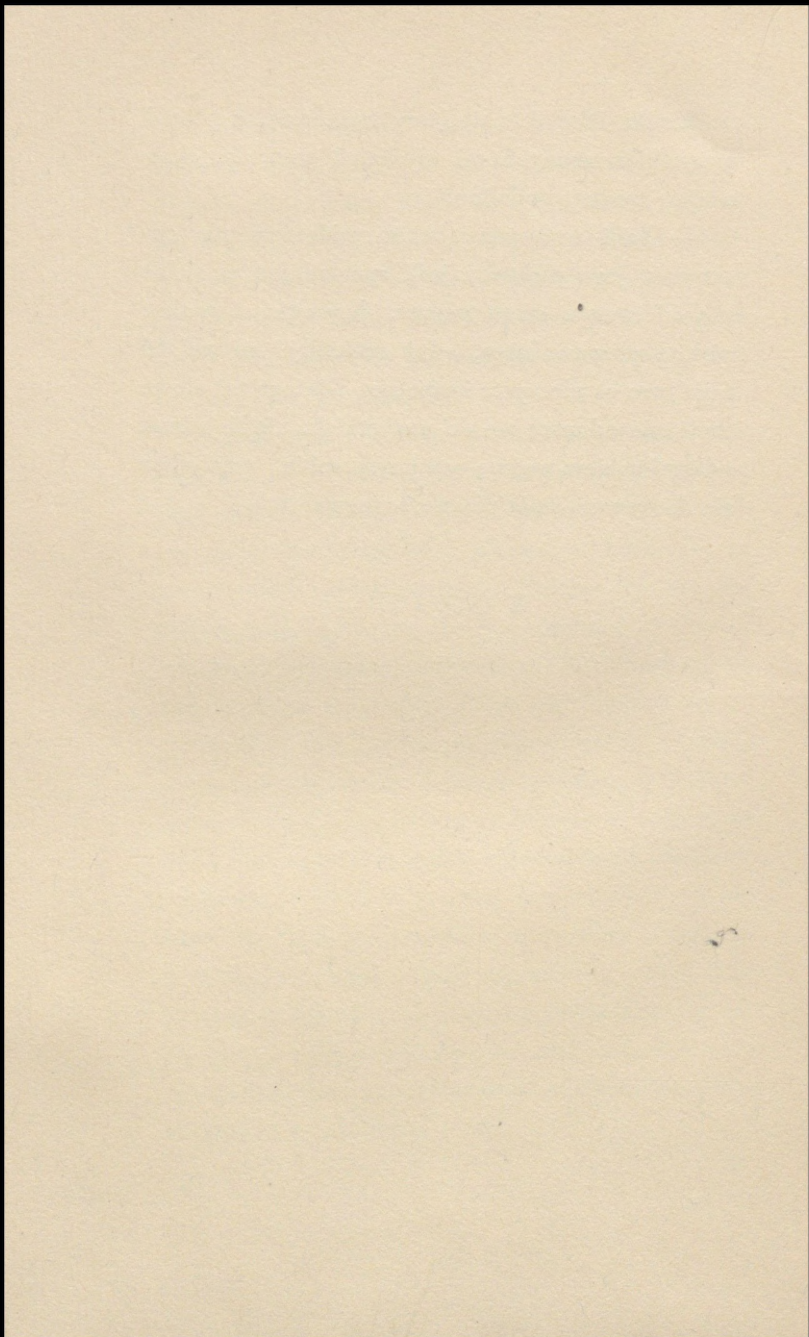
Kochać tak, znaczy upiększać wspólnie jedną duszę, aż się stanie jednym aniołem, o którym mówi Swedenborg, znaczy to odkrywać codziennie nowe piękno w tym aniele tajemniczym i wznosić się razem w coraz to żywszej dobroci. Istnieje bowiem także dobroć martwa, stworzona z tego co przeminęło. Atoli miłość prawdziwa czyni bezpotrzebną przeszłość i rodzi za zbliżeniem się niewyczerpaną przyszłość dobroci, bez nieszczęść i łez.

Kochać tak, znaczy wyswobodzić duszę i stać się pięknym jak dusza wolna.

Wielki Plotyn, najbliższy boskością, z pośród wszystkich znanych mi myślicieli powiada, omawiając sprawy podobne:

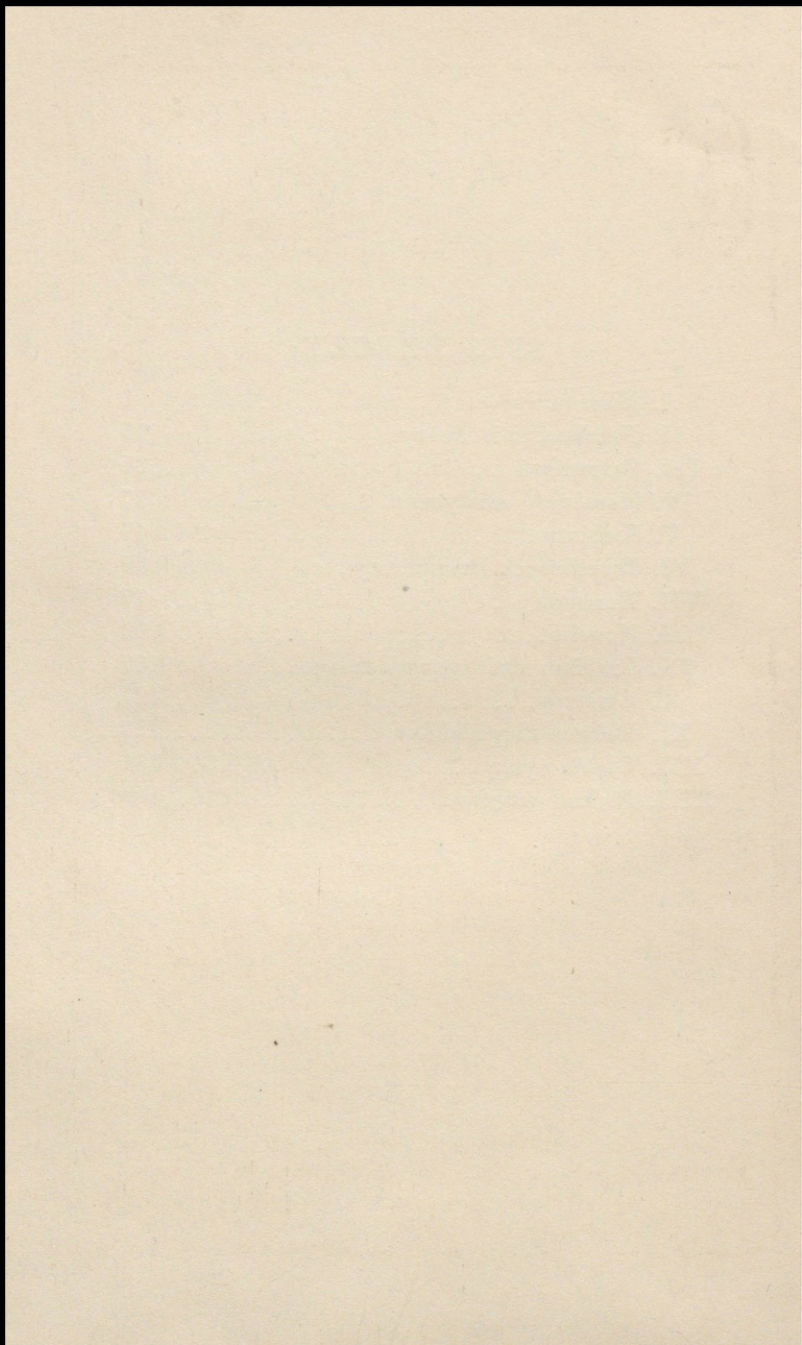
— Jeśli wzruszony takim widokiem nie odczuwasz jego piękna i jeśli spoglądając w siebie nie odczuwasz czaru piękna, daremnie ci szukać piękna poznawalnego, gdyż szukałbyś go pośród tego jeno co nieczyste i szpetne. Dlatego też słowa moje nie odnoszą się do wszystkich. Jeśli jednak odkryć umiesz piękno w samym sobie, wzniesiesz się do wspomnienia piękna poznawalnego.

K O N I E C.



SPIS RZECZY:

	Str.
I. Milczenie	1
II. Przebudzenie duszy	15
III. Ostrzeżeni	27
IV. Moralność mistyczna.....	37
V. Kobiety	47
VI. Ruysbroeck Przedziwny ...	59
VII. Emerson	77
VIII. Novalis	93
IX. Tragizm dnia powszedniego.....	107
X. Gwiazda	121
XI. Dobroć niewidzialna	137
XII. Głębia życia	151
XIII. Piękno wewnętrzne	169





WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

POZNAŃ

ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6

PROSPEKT

BIBLIOTEKA
LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA STAN. LAMA

PÓ RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nie tylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nieznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmien-
nictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ.
„ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ.
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — SYNNÖVE SOLBAKKEN.
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI.
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ.
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ.
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-
GNARDA.
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-
SZY — ZBLĄKANE PTAKI.
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS.
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEŁ DOMOWEGO OGNISKA.
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ.
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW.
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS.
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI.
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
„ XIX. RUDYARD KIPLING — STAŁKY I SP. — POWIEŚĆ.
„ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZAŁI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.
„ XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.

- Tom XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA —
- „ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS.
- „ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON — TOMASZ RENDALEN —
- „ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I.
ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.
- „ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS —
- „ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II.
LATO — POWIEŚĆ.
- „ XXVIII. PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI.
- „ XXIX. SELMA LAGERLÖF — GÓSTA BERLING — POWIEŚĆ.
- „ XXX. WŁADYSŁAW ST. REYMONT — PĘKNIĘTY DZWON.
- „ XXXI. GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.
- „ XXXII. MAURYCY MAETERLINCK — GOŚĆ NIEZNANY.
- „ XXXIII. KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK —
- „ XXXIV. MAURYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZE-
ZNACZENIE.
- „ XXXV. KNUT HAMSUN — KOBIETY U STUDNI. POWIEŚĆ.
- „ XXXVI. JACINTO BENAVENTE — ŹŁE KOCHANA.
- „ XXXVII. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — TOM I.
- „ XXXVIII. SELMA LAGERLÖF — MAJA LIZA. — POWIEŚĆ.
- „ XXXIX. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE. — TOM I.
- „ XL. RUDOLF EUCKEN — WIELCY MYŚLICIELE. — TOM II.
- „ XLI. WILLIAM BUTLER YEATS — OPOWIADANIA O HAN-
[RAHANIE RUDYM.
- „ XLII. KAROL GJELLERUP — GDYM PO RAZ PIERWSZY
UJRZAŁ JĄ. — POWIEŚĆ.
- „ XLIII. RABINDRANATH TAGORE — GORA — POWIEŚĆ.
- „ XLIV. ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF — TOM II.
- „ XLV. MAURYCY MAETERLINCK — SKARB UBOGICH.

W dalszym ciągu ukazać się następujące tomy:

- ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — TOM III, IV.
- KAROL GJELLERUP — MŁYN NA WZGÓRZU.

MAURYCY MAETERLINCK — ŚCIEŻKI WYŻYNNE.
KNUT HAMSUN — OSTATNI ROZDZIAŁ. — POWIEŚĆ.
RUDYARD KIPLING — KIM — POWIEŚĆ.
HENRYK PONTOPPIDAN — SZCZĘŚLIWIEC. — POWIEŚĆ.

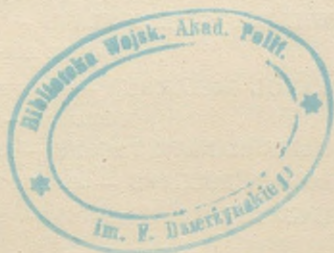
„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi
w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje
od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie
takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.





19628 / 1